Miesięcznie 95 groszy
prenumeratę przyjmuje każda poczta.

1 egz. 30 groszy.

Moje Powieści

ILUSTROWANY TYGODNIK DLA WSZYSTKICH

Rok III. Niedziela, dnia 1 września 1935 r. Nr. 35.



Dla Ciebie, piękna dziewczyno...

Tyle podziwu, tyle zachwytów
Za tobą idzie, piękna dziewczyno,
O jasnych oczach, jakby w błękitach
Płonące gwiazdy szarą godziną.

Za tobą biegnie spojrzeń tysiące,
Tyleż uśmiechów promiennych goni,
Choć sama nigdy się nie uśmiechasz
Do napotkanych ludzi gorąco.

Z wyniosłem czołem, tak pełnem dumy,
Idziesz milcząca, w sobie zamknięta,
Nad kobiet innych piękniejsza tłumy,
Idziesz wśród hołdów — niemi zajęta.

— — — — — — —

Tyle podziwu, tyle zachwytów
Za tobą idzie, piękna dziewczyno,
O jasnych oczach, jakby w błękitach
Płonące gwiazdy szarą godziną.

„KALINA"



Nasza ilustracja przedstawia moment z wyścigów wioślarskich w Berlinie, w których Polacy odnieśli wspaniały sukces.

W. W.

ŚWITANIE

Przylgnęła całem ciałem do okna. Ciągnęła ją ku sobie rozprzestrzeniona dal, zamglona nieco kurzawą wzdętego pyłu. Czasami bowiem zaczynało się jej przywidywać, że w tej kurzawie dostrzega mały, czarniawy punkcik, oddalający się z każdą chwilą, podnosząc się tylko raz poraz, niby rakieta, nad linją horyzontu. Patrzyła całą siłą wzroku, całem natężeniem duszy. Lecz cóż, choć szeroki obraz pól wysilał się na urok, oblewając się poświatą zachodu? Cóż, choć żaby zaczęły w pobliskim stawie swe uroczyste kumkanie? — ona gdzieindziej miała zwrócony wzrok i czucie. Ot, ten mały, czarny punkcik, otoczony kurzawą pyłu, znaczył w tej chwili więcej, niż wszystkie cuda świata, niż blask zorzy, niż koncert żab, niż jej życie, niż ona sama. Ach! żeby tak być teraz z nim, odjeżdżać w kraj świata! Konie unoszą, wóz odbija się od ziemi, ulatując w powietrze... Co za rozkosz! Wibry nią trzęsą, lecz ona ma oparcie, ma pewność, że przy nim nic się stać nie może. Lecą w bezkresną dal szczęścia, gnani wichrami czasu. Lecą, muskani zefirami, nie czując nic, jak tylko pełne upojenia tętno własnego serca. Teraz już tylko mają jedno serce, jeden nerw czucia. W górze i przed nimi — czara niezaczętego życia, zaś pod nimi i w tyle — bezmyślnie tępa kreatura pospolitości. Byle dalej, byle chyżej!

Jakiś szelest za drzwiami wprawił ją w pewne zrównoważenie myśli: To jeszcze nie teraz, nie dziś, lecz za tydzień... po ślubie. Och, jak ten czas się wlecze! Co za nieznośna sytuacja! Tydzień mam zostać bez niego, tydzień, i nie zobaczyć go aż w dzień ślubu... Tak, muszę.

Wyjechał, aby pozałatwiać wszelkie formalności, związane z aktem ślubu.

Nowy szelest i wyraźne uchwycenie za klamkę. Panna Iza w jednej chwili znalazła się koło szafy i, otworzywszy ją machinalnie, zaczęła w pośpiechu przerzucać jakieś części swej garderoby.

— Jak myślisz, Iziu: jest już pan Marjan na dworcu?

— Nie wiem, mamciu — odrzekła zupełnie odruchowo panna Iza, nie zdając sobie nawet sprawy, o czem mówi.

— Żeby się tylko nie spóźnił...

— Kto?

— A o kim mowa? pan Marjan; ale ty już całkiem przeniosłaś się do nowego świata... A to co? pocóż trzymasz w ręce: przymierzałaś? przed lustrem? Oj, ty, ty! Tak ci pilno?

Panna Iza poczerwieniała. Sama nie mogła pojąć, skąd się wzięła w jej rękach ślubna suknia z welonem, O!, złapała bez namysłu, aby tylko ukryć przed matką owe towarzyszenie wzrokiem odjazdowi Marjana. Zła była na siebie, że się tak zbytnio zdradza ze swemi uczuciami i do tego w tak niewybredny sposób.

— Rozumiem cię: kochasz go i to życie przyszłe, które za tydzień ma się przed tobą roztworzyć... A wyobrażasz sobie chociaż, jakie ono będzie?

— Tak! będzie takie, jakie my... jakie ja chcę mieć. Musi być takie. Przecież nie stoi nam na zawadzie żadna przeszkoda; droga do szczęścia wolna. Czy może sądzisz, mamciu, inaczej?

— Gdzieżtam... skądże znów... Powinnaś być szczęśliwa, powinnaś... za mnie.

Urwała nagle, aby przypadkiem nie powiedzieć przed córką za wiele.

— Powinnaś...

A duszą jej zatargał drapieżny szpon wspomnienia, zmiażdżył ją na proch, zwinął w powiędły kłębek bólu, niezniszczonego ręką długiego czasu. O! bo on po to nie wyciąga dłoni; po uśmiech, po przebłysk słońca, — ale nie polo.

Chciała coś powiedzieć do córki, zakryć zmieszanie, lecz nie mogła. Wszak i ona kiedyś tak samo oczekiwała dnia swego ślubu, tak samo drżała... zresztą wszystko tak samo, z wyjątkiem uczucia. Teraz widzi pragnienie, wzmożenie tętna, zaś u niej była sama obawa, lęk, niepewność, przeradzająca się czasami w niemy, straszliwy bunt. Każda chwila, która ją zbliżała do połączenia z człowiekiem niekochanym, była dla niej katuszą. Lecz ją zniosła w milczeniu, w zamknięciu w sobie, bowiem chciała znieść, na złość temu, który ją porzucił, a któremu ona swą miłość przysięgła.

— Czemu mama taka blada?

— Ja? Gdzieżtam... zdaje ci się może...

Głos matki drżał, co mocno zaniepokoiło córkę. Podbiegła do matki, chwyciła ją za ręce i poprowadziła w stronę kanapy.

— Mama coś wie... coś, co pewnie mnie tyczy, coś złego, — ale ja proszę... ja chcę wiedzieć wszystko! Czy kto stoi na drodze mego szczęścia? Mamo!...

— Na drodze twojego szczęścia?... Co ty mówisz? Skąd taka myśl? Ani ojciec, ani ja, ani nikt na świecie nie ma zamiaru wydzierać ci szczęścia, któreś sobie wymarzyła, a które stało się twoją własnością. Ojciec daje ci majątek, ja swoje matczyne serce, a on, twój Marjan — miłość i sławę. Tak, będziesz żoną poety, żoną letniego zefiru, który cię poniesie w świat upojenia i dumy. Będziesz zwiedzała obce kraje, a gdziekolwiek się znajdziesz, wszędzie ludzie będą pokazywać: Patrzcie! to jego żona!

— Mamo, nie tak głośno! Ja się boję nawet pomyśleć, aby nie spłoszyć owego ptaka... Mnie się wciąż zdaje, że śnię, od dnia zaręczyn. Nie mogę pojąć, że za tydzień stanie przede mną mój królewicz z bajki, że... Co mamie jest?

— Nic, nic... dziwnie mię tylko dziś głowa boli. Zupełnie mi się ćmi w oczach... Podajże mi wodę kolońską!

Gdy Iza wyszła, matce wytrysnął długo powstrzymywany strumień łez. Płakała, sama nie wiedząc z czego: czy z obudzonej zazdrości, czy też ze szczęścia. Płakała, a z każdą chwilą robiło się jej lżej:

— Powinna...

W tej samej chwili usłyszała kilka rytmicznych uderzeń gałęzi, podrzuconej wichrem i trącającej o szyby okienne. I przyszła jej dziwna myśl, że owe gałęzie oznajmiają więziennym językiem okrutną odpowiedź nieustępliwego życia: Nie, nie, nie.

— Powinna!

— — — — — — — —

Duszno i senno było w pociągu, mimo, że przez pół otwarte okno sączył się ostrawy podmuch letniej, a zarazem szczypiącej nocy. Pasażerowie przeważnie spali, kiwając się, a od czasu do czasu, dla odmiany uderzali głowami o siebie. Jeden tylko człowiek nie spał,

EMIL GABORIAN

Ajent policyjny

28)

Proszę powiadomić przeto służbę, bez użycia jednak dzwonka; robienie hałasu w podobnych wypadkach nie jest nigdy wskazane bowiem.

Portjer zamknął bramę starannie na wszystkie zamki, a następnie pobiegł zaalarmować służbę. Nie upłynęło pięciu minut, jak cała służba pokojowa i stajenna, w liczbie do pięćdziesięciu ludzi, była na rozkazy Lekoka.

— Jeżeli ten Maj istotnie się tutaj ukrywa, to bez żadnej wątpliwości znaleziony być musi — powiedział sobie nasz ajent, uradowany, iż tak bardzo licznych znalazł pomocników.

Napróżno jednak, przy pomocy licznych świateł, przeszukali cały ogród nie wyłączając oranżerji — nie znaleźli nikogo.

Przejrzeli skrupulatnie wszystkie składy, ptaszarnie, cieplarnie, altany, pawilony na zimę zamknięte i dotychczas nigdzie jednak nawet drobnego śladu pobytu złoczyńcy odnaleźć nie zdołali.

Wkońcu wdrapywać się zaczęło na drzewa, w przekonaniu, że skrył się pomiędzy ich konarami może... znów napróżno.

— Jeżeli owego mordercy niema w ogrodzie, to w takim razie nie może ulegać wątpliwości, iż opuścił on go w ten sam sposób, w jaki się do niego dostał, to jest przez mur — twierdził uporczywie portjer.

I był to wywód — przyznać należy — bardzo logiczny.

Lekok jednak był innego zdania. Wiedział przecież, że za murem stróżował Nalewajka, mający w dodatku posterunkowego do pomocy. Nie. Maj przez mur uciec nie mógł.

Portjer uporczywie jednak obstawał przy swojem. By go przekonać, musiał przywołać Nalewajkę, który pilnował muru nie z jednym, lecz z dwoma strażnikami, gdyż ten odstawił człowieka w bluzie do komisarjatu, wrócił z powrotem.

Wszyscy trzej kategorycznie zapewniali, że nie spuszczali z muru oka i mogą przysiąc, że Maj tej drogi nie próbował nawet.

— Oszalałeś pan chyba!... Jakimże sposobem wejśćby tu zdołał i gdzie się ukrył, gdy wszystkie pokoje są w momencie tym oświetlone i przepełnione służbą. A zresztą książę pan jest w kąpieli, po której wyraził życzenie położenia się natychmiast.

To poskutkowało. Służba raz jeszcze wzięła się do poszukiwań, nie robiła tego teraz luzem jednak, lecz ustawiła się w jeden długi sznur od jednego krańca ogrodu do drugiego i tak się posuwała krok za krokiem, nie pomijając jednej piędzi ziemi.

Gdy tak pracowali, w kole światła zjawiła się jakaś nowa postać, na widok której wszyscy przyjęli pełną szacunku postawę.

— To jest pan Otto — szepnął do ucha portjer Lekokowi — marszałek dworu jego książęcej mości.

Ważna figura ta została wysłana przez samego księcia (pan Otto już nie mówił: „jego książęca mość", poprzestając na mniej uroczystym tytule), który polecił mu dowiedzieć się, co się to takiego niezwykłego w ogrodzie dzieje?

Gdy mu wytłumaczono, o co chodzi, pan Otto raczył rzucić okiem na Lekoka, a następnie polecił, by służba bez najmniejszych protestów słuchała rozkazów „pana inspektora", księżna pani bowiem z pewnością nie zasnęłaby spokojnie, gdyby złoczyńca nie został schwytany.

Po słowach tych odszedł krokami pełnymi majestatu, zaś służba rzuciła się wtedy ze zdwojoną energją do poszukiwań.

Owocem zabiegów tych było parę myszy tylko z kryjówek przepędzonych, Maja jednak odkryć nie zdołano.

Przyszło poniechać próżnych poszukiwań, z tą jedynie bezwzględną pewnością, iż Maja w ogrodzie napewno nie było.

O tem, by zdołał on wymknąć się przez bramę, nawet mowy nie było, nazbyt jasno była ona oświetlona i było oczywiste, iż portjer jej nie opuszczał na mały choćby moment. A zresztą, tylne wejście do pałacu, przez ogród, było w dniu tym zamknięte, o czem Lekok przekonać się mógł naocznie, przy niem je bowiem otworzono.

Mógł się dostać jednak może przez jakieś uchylone okno, przez piwnicę?...

To też Lekok postanowił przetrząsnąć i pałac. Posterunek po drugiej stronie muru był już zbędny, to też Lekok przywołał Nalewajkę do siebie i wraz z nim, otoczony służbą, wkroczył do pałacu, którego drzwi wejściowe, wszystkie nawet okna, zostały jak najstaranniej pozamykane.

Z zaciśniętemi ustami i zmarszczoną brwią przebiegał wszystkie salony, sienie, schowanka i piwnice, najstaranniej przeszukał wszystkie pokoje służbowe, jak również i poddasze... Wszystko to na nic się nie zdało. Maj na podobieństwo duchów bezmaterjalnych, rozwiał się w przestrzeni, przeniknął mury i znikł.

Po dwugodzinnym ciężkim trudzie Lekok znalazł się wreszcie na drugiem piętrze pałacu, gdzie się znajdowały prywatne apartamenty księstwa, składające się z salonów sypialnych, buduarów, małych gabinetów do pracy, łazienek i garderób.

Do tych miejsc ajetom naszym towarzyszyło trzech służących zaledwie, innym bowiem do tej części pałacu wstęp był wzbroniony.

---

lecz czuwał w dziwnym nastroju, zapatrzony w kąt przedziału. Początkowo próbował się czemś zająć: rozkładał gazety, wertował jakieś notatki, wyjmował z walizek książki — po to, aby na wszystko spojrzeć niechętnym wzrokiem, zmiąć i rzucić na bok od siebie. Widać było najwyraźniej, że go już nic nie zadowoli, że niema w pociągu tego, czem by mógł się zająć jego umysł. Na co tylko spojrzał, wydała mu się ta rzecz tak haniebnie banalna i tak nieskończenie głupia, że natychmiast odwracali oczy ze wstrętem. Po tem uczuciu odrazy następowało nowe, więcej skomplikowane. Teraz patrzał na każdą rzecz dłużej, z uwagą, z zastanowieniem się nad każdą drobnostką, jakby odrazu chciał posiąść wszystkie cechy i szczegóły w otaczającym go światku kiwających się kadłubów, świecących nosów, chrapliwych oddechów, oraz wielu innych ruchów różnych części ciała ludzkiego. Po tem wszystkiem wpadł w rozmarzającą senność, co sprawiło mu widoczne zadowolenie, wyprężył się, oparł nogi o ławkę sąsiada, głowę rzucił w tył i, patrząc w nieokreślony punkt, zaczął spuszczać z uprzęży własny rój myśli. Szły jedna przez drugą i ponad drugą, szły w rozczepionym tłumie, aby błąkać się i wreszcie zginąć w pozaokiennej, ciemnej przestrzeni.

— Tak, tak — mówił sam do siebie — nareszcie stanie się rzecz niezwykła, że zacznę żyć, żyć pełnią czucia, pełnią swej potęgi. Zacznę żyć. To ciągłe borykanie może człowieka przyprowadzić do szaleństwa, choć i ono jest pociągające... Ale dosyć tego, teraz chcę żyć. Jeszcze tydzień, a tą samą drogą pójdzie nas dwoje: ja i boska Iza. Ach, jeszcze tydzień! Zobaczy wtedy świat, jak my żyć umiemy, zobaczy i cofnie się przed nami z uwielbieniem i nieśmiałością. Cofnie się w poczuciu swej bezsiły. A nas dwoje wszędzie; najniedostępniejszy szczyt, najgłębsza otchłań, staną dla nas otworem. Tak, za tydzień podróż poślubna... cały świat musi mi zazdrościć... Mam sławę, mam anioła, mam pieniądze (a właściwie ona ma), mam... cóż jeszcze mam? Wszystko. Za tydzień podróż poślubna: otwiera się cudny, szeroki świat, pełen poezji i niewysłowionego piękna. Za tydzień... Biarritz, Monaco, St. Remo, kanał wenecki, Rzym, Neapol, Capri, Egipt i Bóg wie, co jeszcze.

Zawiało go od okna. Rozejrzał się po wagonie.

— Brr... jakże prozaiczne to pudło, które nas dziś wlecze, charkając bez ustanku słupem węglowych skier. Trzyma się to niewolniczo tych sztab metalu, hałasując na wszystkie strony do niemożliwości. Brr!...

Ktoś z napół sennych pasażerów zwrócił mu uwagę, że, zdaje się, jego stację minęli. Marjan skoczył do okna: rzeczywiście. Poznał znane budki zwrotniczych, oraz dobrze wryte w pamięć kontury drzew. Pociąg był jednak już w biegu, zwiększając z każdą chwilą pośpiech. Bez namysłu porwał Marjan walizkę, otworzył drzwi, i zanim ktoś zdążył go przytrzymać, rzucił się ze schodków w ciemną przepaść nocy.

— — — — — — — —

W kilka godzin potem, dyżurujący na torze kolejarz zauważył przy świetle swej latarki jakąś zmiętą i skłębioną masę ciała ludzkiego, drgającą ostatniem wysileniem uciekającego życia.

A na niebie zaróżowił się pierwszy brzask i pierwsze świtanie.

Na progu apartamentów tych przyjął ich jednak pan marszałek Otto z bardzo nachmurzonem czołem i zapytał ostro:

— Czegóż tutaj chcecie, u djabła?

— Pragnęlibyśmy stwierdzić, czy złoczyńca nie ukrył się tutaj czasami, mógłby to mieć bowiem groźne następstwa.

Wobec podobnego przyjęcia Lekok chciał się już cofnąć, gdy z głębi pokojów dał się słyszeć głos do rozkazywania przywykły.

— Pozwól, Otto, by dobrzy ci ludzie spełnili bez przeszkody swój obowiązek.

— Ha!... jeżeli książę pan sam pozwolić raczył... w takim razie proszę, sam panów oprowadzę.

Lekok wszedł, lecz przebiegł pokoje dla spełnienia formalności tylko. Lekko obrażony pan Otto nie pozwolił mu jednak na pominięcie jednego choćby pokoju tylko, stanął w drzwiach łazienki nawet, w której pan domu pluskał się właśnie.

Gdy już był w pokoju sypialnym, miał możność przez uchylone drzwi zobaczyć samego księcia, wycieranego w tym momencie przez garderobianego.

— No i cóż — książę raczył się odezwać wesołym głosem — złoczyńca schwytany?

— Niestety, nie, wasza książęca mość — odpowiedział Lekok głosem pełnym uszanowania.

Marszałek nie podzielał jednak dobrego humoru swego pana.

— Myślę, panowie ajenci — powiedział — że możecie bez ujmy dla swej gorliwości, oszczędzić sobie trudu przeszukiwania pokojów księżnej pani. Uczyniły to bowiem już garderobiane, które w lęku przed mordercą zaglądały nawet do szufladek.

Lekok słowa te przyjął w milczeniu, skłonił się tylko i zaczął schodzić ze schodów.

Na pierwszym piętrze, na progu sali jadalnej zatrzymał ajentów starszy lokaj, który, z polecenia marszałka zapewne, zapytał ich grzecznie, czy nie zechcieliby się po takich trudach czemkolwiek posilić?

Oczy Nalewajki zabłysły. Na jego umysł spadła myśl, że w tej siedzibie królewskiej dostaliby zapewne do zjedzenia i wypicia takie rzeczy, jakich nigdy nie widzieli zapewne.

Lekok jednak odmówił stanowczo wyszedł z pałacu Sermeuse bardzo szybko, z myślą, iż bitwa została przegrana.

Maj zniknął, rozwiał się jak mgła! Ta myśl doprowadzała go do szaleństwa.

Ręczył przecież głową, że mu się nie wymknie.

A jednak to niepodobne ciałem się stało.

Gdy znalazł się na ulicy, odwrócił się do Nalewajki i rzekł głosem przytłumionym:

— Cóż, stary... Cóż ty myślisz o tem wszystkiem?

Poczciwiec potrząsnął głową i wypalił, nie wiedząc, jak wielką popełnia niezręczność:

— Ja myślę, iż Żewrol będzie sobie tego zacierał ręce.

Po usłyszeniu nazwiska swego największego nieprzyjaciela, Lekok rzucił się jak byk rozjuszony.

— Oh! — zawołał — niech nie tryumfuje zbyt wcześnie. Straciliśmy, prawda, Maja i jest to duże bezwątpienia nieszczęście, lecz mamy za to w swych rękach jego wspólnika, który dotychczas krzyżował wszystkie nasze plany. Nie może ulegać wątpliwości, iż jest on bardzo zręczny i bardzo do tego tak zwa nego Maja przywiązany, zobaczymy jednak, czy nie zacznie śpiewać, gdy ujrzy w perspektywie galery, na które może się dostać. A to go czeka za współudział w dzisiejszej nocnej robocie. O! ja jestem spokojny, że pan Segmuller zdoła wydobyć z niego tajemnicę!

I Lekok potrząsnął wzniesioną w górę pięścią.

— Ale chodźmy — dodał — chciałbym jaknajprędzej go wybadać.

XXXVIII.

Pierwsze kroki wschodzącego dnia różowiły niebo, gdy młody policjant wraz ze starym Nalewajką dochodzili do komisarjatu, w którym wspólnik Maja chwilowo był więziony.

Gdy weszli na ogólną salę zastali za stołem siedzącego dzielnicowego, zajętego pisaniem raportu.

Nie ruszył się z miejsca na ich widok, nie mając możności poznania ich pod przebraniem.

Gdy jednak wymienili swe nazwiska podniósł się z widocznym pospiechem, a podając im rękę, zawołał wesoło:

— Tam do djabła!... Winszuję, tęgo spisaliście się tej nocy!

Lekok i Nalewajka spojrzeli na siebie ze zdumieniem.

— Co pan przez to pragniesz powiedzieć? — zapytali razem.

— Ależ nie udawajcie, moi drodzy. Schwytaliście przecież słynnego Józefa Couauriera, postrach całej Francji, poszukiwanego napróżno od trzech miesięcy, tj. od chwili, gdy ten fałszerz, bandyta i morderca zbiegł z galer, po zamordowaniu dyrektora więzienia i dwóch dozorców.

Po usłyszeniu słów tych Lekok zbladł straszliwie, jak by po otrzymaniu ciosu nożem w serce, a następnie padł twarzą na stół na wpół przytomny.

— Józef Couturier!... zawołał po chwili, gdy po spryśnięciu mu twarzy wodą doszedł do przytomności — Józef Couturier!

Dzielnicowy nic z tego nie rozumiał. Spojrzał na twarz Nalewajki, lecz i na niej dojrzał zniechęcenie tylko.

— Do stu tysięcy djabłów — zawołał zirytowany — widzę, iż powodzenie poprzewracało wam w głowie. Gracko spisaliście się jednak. Widzę już Żewrola z nosem na kwintę, tego samego Żewrola, który nie dalej jak wczoraj głośno się przechwalał, że jeżeli on nie złapie Couturiera, to pozostanie on już na zawsze na wolności.

Tak więc zły los nieprzerwanie zdawał się szydzić z Lekoka. Cóż za ironja otrzymywać pochwały, w chwili tak dotkliwej porażki, bezwątpienia niepowetowanej...

Nie było jednak rady.

To też Lekok odezwał się po chwili zupełnie odmiennym już tonem.

— Pozwolisz, kolego, bym mógł zadać parę pytań schwytanemu?

— Ależ, bardzo proszę, ile tylko zapragniesz.

Dał rozkaz, a po chwili z prowizorycznego aresztu wprowadzony został na salę bandyta, którego poznaliśmy już w poprzednich rozdziałach.

Od pierwszego rzutu oka poznał on Lekoka.

— Acha!... powiedział — to pan mnie tak ładnie urządził. Mogę ci powinszować, masz tęgie łydki i pięść nie najsłabszą. Spadłeś mi na kark wprost błyskawicą, a potem ścisnąłeś, że niech cię djabli wezmą. Zwyciężyłeś mnie jednak w uczciwej walce, więc nie mam do ciebie żalu.

— A więc — powiedział Lekok — jeżelibym cię o coś poprosił, to uczyniłbyś jej zadość?

— Dlaczego nie? We mnie jest tyle żółci, co w kurczęciu. A zresztą spodobała mi się twa odwaga. Dzielny chłopak z ciebie i mógłbyś być moim kolegą. O cóż więc idzie?

— Chciałbym, ażebyś mi coś nie coś powiedział o swym towarzyszu z dzisiejszej nocy.

(Ciąg dalszy w nast. numerze.)

Kraina szczerości i naszych trosk

Każdy Czytelnik „Moich Powieści" ma prawo pisać do tego działu

Dobre rady p. Zofji

ŻEBY NIE BYŁO

Sierpniowy wieczór... Gdy spadła gwiazdka teraz,
Jedno miałabym tylko gorące życzenie,
Które się w sercu i w duszy kołacze nieraz:
— Żeby nie było dzieci głodnych, opuszczonych
I wołających żałośnie gdzieś w ciemność nocy,
Z której matczynej miłości głos nie odpowie...
—Ciężkie jest życie, już od dzieciństwa sieroce,
Losem podobne do wiatrem miotanych liści.

Danuta Wyrybkowska.

DZIĘKUJĘ!

„Kropelka z nad Brdy," Za miły dopisek do listu Brata — ślicznie dziękuję. Żałowałam bardzo, że dysponowała Pani tylko taką szczupłą ilością miejsca, gdyż w przeciwnym razie byłaby mi Pani szerzej opisała swoje wakacyjne wrażenia, prawda?

Pocieszam się jednak, że nie zapomni Pani o tem w następnym liściku. Czekam więc, a tymczasem przesyłam moc szczerych uścisków i pozdrowień.

PRAGNIENIE PANI NAPEWNO SIĘ SPEŁNI

P. Maryla W. Załączony list wysłałam. Pragnienie Pani napewno się spełni, gdyż korespondować z Panią — to prawdziwa satysfakcja.

Dowiaduję się z listu, że dużo Pani pracuje i dzięki temu posiada mało czasu, pomimo tego proszę jednak o częstą pamięć, gdyż nie potrzebuję chyba dodawać, że nie chodzi o nią nietylko mnie, ale i wszystkim Sympatykom „Krainy."

Ściskam pracowite ręce Pani i przekazuję załączone pozdrowienia: „Słodkiej Psyche" — „Jadźce z Kujaw" i „Białej Uajali."

CZY „INKA" NAPISZE?

„Seliman - Pasza." Dziękuję serdecznie za słowa uznania i miłe pozdrowienia. Do naszego grona przyjmuję Pana najchętniej i zgodnie z utartym zwyczajem rekomenduję Pana Sympatykom „Krainy."

„Seliman - Pasza" — to Pomorzanin, ciemny blondyn o niebieskich oczach, z gimnazjalnem wykształceniem, z zawodu drogerzysta. Mieszka w miejscowości otoczonej jeziorami i lasami. Przesyła miłe pozdrowienia „Ince" z trójki: „Hanka" — „Inka" — „Janka" z prośbą o skreślenie do Niego kilku słów. Czy p. „Inka" uczyni zadość życzeniu „Selimana - Paszy"? Myślę, że tak!

PÓJDĘ ZA TOBĄ...

Lolkowi z Aurelowa — poświęcam.

Pójdę za tobą przez wichry, gromy burz,
Wśród cierpień życia, wśród chmur, pośród mroku,
Pójdę za tobą wiernie, jak Anioł Stróż,
Ażeby strzec wciąż twoich myśli, kroków.
Pójdę za tobą, aby się cieszyć wraz,
Gdy uśmiech szczęścia uwieńczy twe czoło...
I będzie święta cisza i radość w nas,
Będzie słońce i będzie raj wokoło.

Pójdę za tobą żale twe tłumić, łzy,
Pójdę za tobą, rozchmurzę twoją twarz...
I młodość, zapał, radość poświęcę ci,
Abyś zrozumiał, że szczęście w sercu masz.

„Dziewczę z jasnego brzegu."

POZDROWIENIA

„Wesoła Wandulka" przesyła pozdrowienia: „Białej Uajali" — „Księżniczce Dari" — „Marzycielce z pod Kościana" — „Orłowskiemu Marzycielowi" — „Dalowi" — „Podoficerowi" i „Robinsowi" i prosi, aby napisał do Niej ktoś, kochający sport i chcący się podzielić z kimś nadmiarem myśli.

Pewną jestem, że prośba Twoja, „Wesoła „Wandziulko", nie minie bez echa, zwłaszcza gdy Sympatycy dowiedzą się, że jesteś bardzo ładną panienką, jasną blondynką i z zamiłowaniem uprawiasz wszelkie sporty.

TROCHĘ POEZJI

„Dziewczę z jasnego brzegu." Pseudonim Pani mówi, że jest Pani poetycznem, uroczem stworzeniem, to też z przyjemnością oddaję część listu, w której pisze Pani o sobie, do druku:

„Jestem wysoką (170 cm), mówią, że zgrabną i ładną. Mam dwa ciemne warkocze, różową buzię i duże oczy w czarnej oprawie. Usta mam zawsze jaskrawo czerwone (co mnie bardzo martwi), dołeczek w bródce i na lewym policzku. Kocham kwiaty, muzykę i wszystko co dobre, ale najwięcej kocham kogoś, komu imię Witold."

Wierszyk z dedykacją — zamieszczam i proszę o nadesłanie mi dokładnego adresu.

WIERSZ DLA „ORD - OMA"

Choćbym miała stu rycerzy,
Niechby byli piękni, skromni
I tak cudni, jak poranek —
Ciebie nigdy nie zapomnę.

Bo Ty jesteś o! mój Boże!
Tym, dla kogo w sercu mojem,
Żar przedziwny wiecznie gorze,
Podsycany niepokojem.

Bo Ty jesteś — któż zrozumie? —
Wymarzonym ideałem,
Napotkanym w ludzi tłumie,
Na śmierć, życie ukochanym.

„Maryla z R."

PAMIĘĆ SYMPATYKÓW CIESZY MNIE ZAWSZE

„Dyza." Myli się Pan, pisząc, że pogniewam się za częste przysyłanie listów. Przeciwnie! cieszę się z okazanej w ten sposób pamięci i żywię nadzieję, że to zapewnienie rozwieje raz na zawsze wszelkie obawy i skrupuły Pana.

Załączony do listu wierszyk — nastrojowy, jednakże szwankuje w niektórych miejscach w układzie do tego stopnia, że nie mogę pomyśleć o oddaniu go do druku. Proszę, niech Pan nadeśle inne utwory; najlepiej do „Teczki Wujka Janusza, a może któryś z nich będzie można oddać do druku.

SŁOWA WSPÓŁCZUCIA

„Wenus". List Pani wzruszył mnie bardzo. Chociaż śp. Kuzynka Pani była mi zupełnie obcą osobą, żal mi jej ogromnie, a przedewszystkiem tych drobnych sierotek. Miejmy jednak nadzieję, że Bóg niezbadany w swych wyrokach, nie zapomni o maleństwach i pod jakąś dobrą opieką pozwoli im wyrosnąć na ludzi. Bardzo będę wdzięczną, gdy Pani mi napisze szerzej o dzieciach swojej zmarłej Kuzynki, poda ich imiona i może prześle, choć małe zdjęcie?

Łączę wyrazy współczucia, serdeczne uściski i przekazuję pozdrowienia, załączone przez Pania dla: „Kaliny" — „Białego Murzyna" — „Blondyna" — wszystkich Czytelników i Czytelników.

„MOŻE I DO MNIE KTOŚ NAPISZE?"

„Cyganka z gondoli złudy." Piękny liścik Pani sprawił mi wiele radości, a także dał dużo do myślenia. Cieszy mnie również bardzo, że mnie Pani zrozumiała i wyczuła o co mi chodzi, chciałam bowiem rzeczywiście okazać Pani serce, wzruszona Jej smutnym listem.

Co słychać u Pani? Czy zawsze smutno i szaro, czy zawsze marzenia okazują się złudą — niczem więcej? Radabym się znowu coś o tem dowiedzieć!

Załączony wierszyk, stanowiący jakby pewnego rodzaju apel do Sympatyków „Krainy", oddaję na końcu do druku, przekazawszy przedtem załączone przez Panią pozdrowienia dla „Kaliny" — „Białej Uajali" — „Ord - Oma" i zamieściwszy kilka poniższych słów z listu Pani.

„Może ktoś z Rodzinki" napisze i do mnie? Jestem wysoką 21-letnią szatynką, kocham las słońce, wodę, taniec, śpiew, muzykę i dobrych ludzi. Na każdy list odpowiem, bo mi smutno i samotnie na świecie."

NIE MYŚL...

Nie myśl o tem, co cię boli,
Porzuć żal i łzy —
I do naszej wejdź „gondoli",
Miłe pędzić dni.

Bo z obliczem marmurowym
Sercu smutno wciąż,
Więc po morzu szmaragdowem
z nami w bajkę dąż.

„Cyganka z gondoli złudy".

W POSZUKIWANIU BRATNIEJ DUSZY

„Gwidon". Na odpowiedź w „Krainie" trzeba zawsze trochę poczekać, gdyż jest rzeczą niemożliwą dać odrazu odpowiedź na setki listów. Wziąwszy to pod uwagę, myślę, że zrozumie Pan dlaczego dostaje dopiero dzisiaj odpowiedź na swoje długie listy?

Pisze Pan, że nie lubi dużego towarzystwa, natomiast małe i dobrane; kocha bardzo przyrodę i tęskni za kimś drogim, z którym możnaby porozmawiać o rzeczach dobrych i złych i któryby miał podobne, jak Pan poglądy na świat i życie.

Załączony wiersz oddałam do oceny Wujkowi Januszowi.

Na zakończenie przesyłam w imieniu Pana pozdrowienia dla: „Verte" — „Elżuni z Torunia" — „Smutnego Serduszka" — p. Maryli Wawrzyńczakówny" i „Dumnego Lwa". Równocześnie przesyłam życzenia spełnienia marzeń i znalezienia bratniej duszy, oraz łączę serdeczne pozdrowienia, prosząc o dalszą pamięć w postaci długich liścików.

PSEUDONIM — TRAFNY

„Córka wichru." Pseudonim Pani bardzo mi się podoba, temwięcej, że lubi Pani wichury, burze i zawieje. Gdyby nie dopisek w liście, poczytałabym Panią rzeczywiście za jakąś „demoniczną" istotę, podczas, gdy jest Pani tylko skromną dziewczynką o figlarnych, piwnych oczach, wysoką, zgrabną szatynką. Pragnie Pani z kimś korespondować, przyrzekając na każdy list odpowiedzieć?

Myślę, że ochotników znajdzie się dużo. Życzę więc powodzenia w nawiązaniu korespondencji i ślę siostrzane uściski.

WIERSZYK ODDAJĘ DO DRUKU

„Maryla z R." Liścik Pani wywarł na mnie bardzo miłe wrażenie. Dziękuję za niego i żywię nadzieję, że nie będzie on pierwszym i ostatnim? Załączony wierszyk oddaję do druku po skróceniu i małych poprawkach.

POZDROWIENIA

„Dusia" bardzo poetycznie pisze o sobie: „Jestem wysoką, zgrabną, podobno ładną. Ukończyłam kilka klas gimnazjum. Pasją moją to muzyka. Potrafię całemi godzinami siedzieć przy radjo i słuchać audycji ze szerokiego świata. Posiadam ślicznego konia, „Sarenkę", na którego często siadam i jadę het — daleko upajać się latem i krasą natury. Od rana do wieczora piosenka nie schodzi mi z ust — jestem wesołą, jak ptak. Pragnęłabym korespondować z jakąś miłą panią lub panem. Czy napisze ktoś do mnie? Przesyłam pozdrowienia dla: p. Danuty Wyrybkowskiej, „Jadźki z Kujaw" — „Białej Uajali" — „Kaliny" — „Pazia" — „Lili Weredy" — p. Maryli Wawrzyńczakówny, — „Loni" — „Ord-Oma" — „Novarra" — „Architekta z pod Wagram" — „Rotmistrza" — „Optymisty Sir" — „Jasnego Myśliciela" — „Idealisty Pałuckiego" — „Irka" — „Romantyka XX-go wieku" — „Hersztа" — „Białego Murzyna" — „Horda" — „Pajaca" — „Pilota" — p. M. Choszcza — „Genjusza" — „Pandura" — „Serca Stepów" i „Bandyty".

Nadesłane wiersze — słabe. Radzę Pani, lepiej pisać prozą, gdyż utworzyć dobry wiersz jest trudno, jedynie tym, którzy posiadają talent poetycki, przychodzi to łatwo. Chyba przyzna mi Pani rację? Łączę jak najserdeczniejsze pozdrowienia.

CZAR OCZU...

Twych oczu dziwny czar
w duszę się wpija,
w serce się wpija,
i w niem roznieca żar...

Dlaczego oczy twe
są zawsze ze mną?
I — w toń ich bezdenną
muszę wpatrywać się? —

Twych słodkich oczu czar...
sen z powiek płoszy
i tak rozkoszny
roznieca w sercu żar.

„Jadźka z Kujaw.“

POZDROWIENIA Z NAD POLSKIEGO MORZA

„Maleńka Tajemnica.“ Widokówkę z Gdyni otrzymałam. Bardzo dziękuję! Ponieważ załącza Pani na niej pozdrowienia dla Sympatyków, oddaję treść jej do druku:

„Dla Kochanej Pani Zofji, Wujka Janusza, „Białej Uajali“, „Jadźki z Kujaw“, p. Maryli Wawrzyńczakównej, „Bruneta J..03“, „Ord-Oma“ oraz wszystkim Czytelniczkom i Czytelnikom „Moich Powieści“ zasyłam milutkie pozdrowienia z nad Polskiego Morza.“

UŚMIECHNIJ SIĘ!

„Samotna Klaruta.“ Zniechęcenie Pani i smutek rozumiem zupełnie. Życie samotne i monotonne przygnębiająco wpływa na tak młode istoty, jak Pani, jednakże przy pewnym zasobie woli i dobrych chęciach można sobie jakoś życie urozmaicić i tak je urządzić, aby nie było czasu na pełne goryczy rozważania i przemyśliwania nad tem, co się nie zmieni i nie polepszy. Radzę Pani nawiązać z kimś interesującą korespondencję, postarać się o wartościowe, zajmujące książki, wypełnić sobie puste, samotne chwile jakąś miłą pracą: robótkami lub wykonywaniem czegoś, co będzie sprawiało Pani przyjemność i satysfakcję. Gdy Pani skorzysta z moich rad, napewno w samotnym pokoiku Pani nie będzie pustki, a w duszy apatji, obojętności i niechęci. Od Pani zresztą tylko zależy, by sobie stworzyć inne poglądy na życie. Proszę pamiętać, że smutek i rozpacz nic nie pomoże, jedynie sami możemy sobie pomóc, biorąc życie takiem, jakie jest i umiejąc się do niego odpowiednio przystosować. Porzuć więc czarne myśli, Droga „Klaruto“ i uśmiechnij się:

„..Albowiem z uśmiechu ta siła
wytryska, ten urok, a cud —
Co w życiu wiośnianym zapałem
ból każdy przemoże i trud!..

A chociaż niekiedy aż czarno
od smutków i skrzywień — to nic!
Potęgą uśmiechu — urody
wnet chmury spędzimy z czół, lic!“

A teraz oddaję do druku wyjątek z listu Pani: „W ostatnim numerze „Moich Powieści“ wyczytałam pytanie P. K. R. dotyczące mnie. W odpowiedzi donoszę, że przypuszczenia P. R. są trafne, lecz niezupełnie. Ślę mu serdeczne pozdrowienia i uznanie za wiersze i proszę go o skreślenie do mnie kilku słów. Łączę również pozdrowienia dla „Pomorzanki z nad Wisły“.“

„CHCIAŁABYM KOMUŚ PRZYNIEŚĆ TROCHĘ RADOŚCI“

„Lenka.“ Kiedy już pierwsze lody zostały przełamane, korespondencja pomiędzy nami rozwinie się pomyślnie, prawda, „Lenko“? Do „Rodzinki“ przyjmuję Cię z radością i daję kilka słów z Twego listu do druku, aby wszyscy poznali nową Sympatyczkę „Krainy“ — „Lenkę“:

„Droga Pani Zofjo! Proszę, przedstaw mnie swojej „Rodzince“, gdyż pragnę wśród jej członków znaleźć jakąś bratnią duszę, z którą mogłabym nawiązać korespondencję i w ten sposób uprzyjemnić sobie wolne od zajęć chwile. Chciałabym komuś przynieść trochę radości, gdyż jestem dość wesołą dziewczynką. Przesyłam milutkie pozdrowienia dla: „Słoneczka“, „Dzikiej Orchidei“, „Nicponia“ i „Dyzy“.

ZA POZDROWIENIA — DZIĘKUJĘ!

P. Roman N. Za przesłane z nad brzegu Bałtyku pozdrowienia dla mnie, Wujka Janusza i całej „Rodzinki“ — dziękuję serdecznie w imieniu wszystkich i swojem.

„TAJEMNICA“

„Ben-Ali.“ Pseudonim Pana przypomniał mi bajkę z 1001 nocy, w której romantyczny bohater nosi takie same imię. Pragnie Pan nawiązać skimś korespondencję? Myślę, że pewnie miłe członkinie naszej „Rodzinki“ wiadomość tę przyjmą z radością, gdyż liściki „Ben-Ali“ będą zapewnie tak samo zajmujące i pełne polotu, jak bajka z 1000 i 1 nocy. Kto nie wierzy, niech napisze i przekona się. Tajemniczy „Ben-Ali“ przyrzeka na każdy list dać odpowiedź!

SYMPATYCZNA TRÓJKA

„Gyli“, „Mulatka“ i „Fabjana“, trójka sympatycznych panienek z Gdyni przedstawia się członkom „Krainy“ i wyraża chęć nawiązania z nimi korespondencji.

„Gyli“ posiada złote włosy, marzące oczy i wesołe usposobienie; „Mulatka“, jest szczupłą brunetką o dużych, czarnych oczach, kochająca wszystko co dobre, miłe i piękne; „Fabjana“ — to ciemna blondynka o piwnych oczach, bardzo wesoła, nie znająca smutków i nudów.

Zalet dużo, myślę więc, że korespondencja z Panienkami z nad morza będzie bardzo interesującą, chyba to przyznają wszyscy Sympatycy „Krainy“?

NIE WARTO...

Nie warto rozpaczać,
gdy szczęście zwodnicze
i tak znikome
się od nas odwraca...

Nie warto rozpaczać,
choć szczęście, co prysło,
przeznaczeń odeszło drogą,
by do nas nie wracać.

Nie warto rozpaczać,
choć wszystko przeminie —
na zawsze przepadnie,
jak wystrzelona raca...

— — — — —

...Z oddali promienne,
Nowe szczęście spłynie.

„Ben-Ali.“

ADRESY!

W redakcji znajdują się listy dla: „Czarnego Olka“ — „Morenity“ — „Szczerej Ślązaczki“ — „Słoneczka“ — „Kameleona“ — „Opuszczonej Owieczki“ — „Ptaszyny“ — „Czarnego Oczka z Jarocina“ — „Kajtusi z Kaszub“ — „Skoczybródzy“ — „Pantuera“ — „Samotnej duszyczki B“ — „Melutki“ — „Haneczki“ — „Wandzi-podlotka“ — „Smutnego Serduszka“ — „Podoficera“ — „Robinsona“ — „Skromnisi“ — „Wesołego Łobuza“ — „Janka z pod Buku“ — „Halszki II“.

APEL DO „RYCERZY“

„Dwa Łobuzy“. Myślę, że nie będą Panie żałowały swej „odwagi“, gdy zobaczą w dzisiejszym numerze odpowiedź na swój liścik i apel do sympatyków, chociaż podany w innej formie.

„Kto z Sympatyków, rozproszy wesołemi liścikami dwom Łodziankom“ smutne życie? Zna, my łzy i ból, a kochamy śmiech, słońce i piękno. Czekamy na kogoś, ktoby umiał nam mówić o pięknie życia. „Rycerze!“ Krzyżujcie pióra! „Dwa Łobuzy“, czarnooka Marylka i modrooka Lucyna czekają na listy od Was.“

NIE POZWÓLCIE DAREMNIE CZEKAĆ

„Lunia,“ młodziutka Pomorzanka za przykładem innych prosi o przyjęcie do „Krainy“ i zapytuje, czy ktoś z miłych Czytelników „Moich Powieści“ nie zechce jej skrócić monotonnych dni miłemi liścikami? Ten, kto zainteresuje się zawsze osamotnioną „Lunią“, otrzyma prędką i szczerą odpowiedź.

Nie pozwólcie więc, Drodzy Sympatycy, wyczekiwać samotnemu serduszku na miłe, jasne słowa, lecz napiszcie prędko i prześlijcie listy na moje ręce, a ja je z kolei przekażę adresatce.

Na zakończenie donoszę Ci, „Luniu“, że do „Krainy“ przyjęłam Cię chętnie i pragnę, abyś się wśród nas czuła jak najlepiej.

W PIERWSZYM RZĘDZIE

„Fata morgana.“ Pomimo, że Pan przebywa obecnie, gdzieś w dalekich, nieznanych stronach, daję Panu odpowiedź na ostatni list, z przekonaniem, że przeczyta ją sobie Pan prędzej czy później.

W pierwszym rzędzie dziękuję Panu serdecznie za pozdrowienia, przesyłane na pocztówkach z podróży, a następnie przesyłam w imieniu Pana ostatnie pozdrowienia i pożegnalne „dowidzenia“ Sympatykom „Krainy“, gdyż opuścił Pan swoje dotychczasowe miejsce zamieszkania i wyjechał w świat.

List odesłałam i mam nadzieję, że nawiązana korespondencja nie przerwie się, lecz będzie miłą rozrywką w obcych Panu stronach.

Teczka Wujka Janusza

PROŚBA

A kiedy zbledną, przepadną w mroku,
Nasze marzenia, zachwytów sny,
Zagasną... jak wody spłyną potoku,
O, Boże, daj nam wytrwania dni.

Bo nic tak duszy młodej nie zasmuca,
Gdy tonąc w marzeń zapale,
Demon złośliwy jej sieci zarzuca —
Na snów i marzeń jasne opale.

Więc niechaj o Panie pokój zagości,
Na moich snów cichym biwaku
I blasku w nich będzie ile światłości —
Na gwiazd promiennym zodjaku.

„Kalina.“

NIE MOGŁEM DAĆ PRĘDZEJ ODPOWIEDZI

„Hord.“ Niepotrzebnie się Pan niecierpliwi i snuje błędne domysły. Mój stosunek do Pana nie uległ najmniejszej zmianie, tylko ostatnio do „Teczki“ wpłynęło tyle listów, że pomimo szczerych chęci nie mogłem dać Panu prędzej odpowiedzi.

W nadesłanych licznie wierszach jest zaledwie kilka dobrych, które wkrótce, oczywiście po poprawkach, zamieszczę, a reszta?... pójdzie do kosza.

Przesyłam Panu wiele serdecznych pozdrowień i żywię nadzieję, że przyjaźń nasza nie ulegnie zmianie.

BRAK INDYWIDUALNOŚCI

P. Wojciech Ruzamowicz. Zasadniczym błędem w twórczości Pana, to brak indywidualności. Niech Pan stara się pisać na mniej oklepane tematy! Z przesłanych wierszy podoba mi się jedynie wiersz, utrzymany w tonie religijnym: „W krzyżu osłoda.“

Przy przesyłaniu dalszych wierszy, proszę zawsze pisać po jednej stronie arkusza.

Łączę moc pozdrowień i przesyłam słowa zachęty do dalszej pracy na polu literackiem.

NIE NADAJE SIĘ!

„Sarkastyk.“ Wiersz Pana chociaż dobry, charakterem swoim nie nadaje się do „Krainy.“ Może Pan nadeśle inne wiersze?

BRAK MIEJSCA NIE POZWALA MI NA DŁUGIE DYSKUSJE

„Ramzes.“ Wywody Pana są jak najsłuszniejsze. Gdyby nie wielki brak miejsca w „Teczce“, podyskutowałbym trochę z Panem. Napisać osobiście? Owszem! gdy zdobędę chwilę czasu — napiszę! Tymczasem żegnam i życzę wszystkiego najlepszego w wszelkich poczynaniach i zamiarach Pana.

Świat i życie

Kobieta, która stworzyła Czerwony Krzyż

Florentyna Nightingale poraz pierwszy zorganizowała pomoc dla rannych żołnierzy. — Skromnością i poświęceniem zjednała sobie serca całej Anglji

Międzynarodowa organizacja niesienia pomocy chorym i cierpiącym, w pierwszym zaś rzędzie rannym w czasie wojny, „Czerwony Krzyż“, jest znana na całym świecie. Obecnie właśnie mija 25 lat od śmierci kobiety, która przyczyniła się do stworzenia tej instytucji dobroczynnej. Twórczynią „Czerwonego Krzyża“ była Angielka, Florentyna Nightingale.

Było to na jesieni 1854 roku. Od kilku miesięcy już trwała wojna krymska, w której Francja, Anglja i Turcja walczyły przeciwko Rosji. I oto pewnego dnia w jednem z najpoczytniejszych pism angielskich, „Timesie“ ukazało się wezwanie następującej treści:

— Na froncie brak jest wszystkiego, a przedewszystkiem lekarzy, którzyby opatrywali rannych. Spowodu braku należytej organizacji zniszczono tysiące ciepłych koców, a obecnie żołnierze giną z mrozów. Ranni i umierający opiekują się innymi rannymi i konającymi z ran i z głodu. Czy nie znalazłyby się w Anglji kobiety, któreby przyszły z pomocą nieszczęśliwym ofiarom wojny?

Wezwanie to nie pozostało bez echa. W kilka tygodni potem utworzył się pierwszy dobrowolny oddział kobiet, które postanowiły nieść pomoc rannym. Było ich zaledwie 38, a na czele ich stała Florentyna Nightingale.

Pochodziła ona z arystokratycznej rodziny, znała wiele języków i cieszyła się poparciem najwyższych czynników rządowych. Mimo, iż uśmiechało się do niej życie pełne zabaw i rozkoszy — zrezygnowała z niego, woląc nieść pomoc cierpiącym na froncie. Poparta przez ministra wojny Lorda Sidneya Herberta udała się dzielna niewiasta z zapasem odpowiednich środków ratunkowych do Turcji. Trzy lata spędziła tam, zdobywając sobie rozgłos światowy. Szpitale wojskowe, które dotychczas były postrachem żołnierzy, stały się wzorem czystości i higjeny. Ludność turecka uważała ją za anioła. Pisma angielskie drukowały listy żołnierzy, pisane do rodzin w kraju. Wszyscy sławili dzielną kobietę, która była obecna przy każdej operacji, każdemu konającemu udzielała słów pociechy, przyrzekała opiekę nad rodziną i sierotami. Społeczeństwo angielskie zbierało wówczas dobrowolnie olbrzymie fundusze, które za pośrednictwem rządu oddawano do dyspozycji Florentyny Nightingale. Damy z towarzystwa, które dotychczas poza zabawami i flirtami nic innego nie robiły — poczęły masowo zaciągać się w charakterze sanitarjuszek.

Wreszcie wojna skończyła się. Rząd zaprosił Florentynę, by jednym z największych krążowników wróci a do kraju, gdzie miała być oficjalnie powitana przez cały rząd. Władze chciały urządzić na jej cześć owacje, ale Florentyna odmówiła. Nie chciała, by jej dziękowano w ten sposób. Zwykłym statkiem wróciła do Anglji i zaszyła się na prowincji. Potem na prośbę czynników rządowych zorganizowała pierwszą szkołę pielęgniarek. Oddała całe swoje trzyletnie doświadczenie na usługi kraju. Florentyna dożyła późnej starości. Wokół jej osoby poczęły krążyć niemal legendy. W dniu 13 sierpnia 1910 roku zmarła. Zgodnie z jej poleceniem, pochowano ją na cmentarzu wiejskim, a na skromnym nagrobku wyryto tylko następujące słowa: „F. N., urodziła się 1820, zmarła 1910“. Kolonja angielska we Florencji w mieście, gdzie przyszła ona na świat, ufundowała piękny pomnik. W kościele między grobowcami Michała Anioła i Dantego wzniesiono posąg kobiety wykuty w kamieniu.

Kobieta trzyma lampę, z której rozchodzi się światło. Na cokole widnieje napis:

„Bohaterka wojny krymskiej. Kobieta z lampą, z której światło dobroci rozeszło się po całym świecie i spowodowało powstanie międzynarodowej organizacji p. n. „Czerwony Krzyż“.

—o—

Peru — kraj starożytnych Inków

Zdawałoby się, że Ameryka Południowa, gdzie istnieje znaczny odsetek emigrantów Polaków, jest nam, mieszkańcom stałym własnego kraju, jako tako znana. A jednak, przyzwyczajeni do używania w szkołach map o różnej skali, gdyż przedewszystkiem chodzi oczywiście o dokładniejsze poznanie własnego kraju i ważniejszych państw europejskich, nie zdajemy sobie nawet sprawy o ogromie obszarów, jakie się znajdują na drugiej półkuli globu ziemskiego.

Skupienia ludzkie stosunkowo do niezamieszkałych przestrzeni, są nieporównanie rzadsze, aniżeli w Europie. A są tam naprzykład takie połacie puste, wielkością dorównujące przeciętnemu krajowi europejskiemu, gdzie żyje zaledwie od jednego do dziesięciu mieszkańców na jeden kilometr kwadratowy.

Jest to więc ziemia dużych możliwości, jeśli chodzi o rozmieszczenie ludzi na świecie, oraz o znalezienie sposobu ich bytowania.

Jednym z takich krajów, gdzie się znajdują niezamieszkałe puszcze, jest Peru, znane w Polsce przynajmniej ze słyszenia więcej aniżeli inne. W pewnym bowiem okresie szerzyła się u nas bardzo propaganda emigracji w te strony. Otwierano przed nami wielkie możliwości w ofiarowanej na kolonizację Montanji. Jest to jednak teren zarośnięty niedostępną niemal puszczą leśną, w dodatku w wielu miejscach błotnisty, a stąd i malaryczny. Pozatem okoliczni mieszkańcy są wojowniczemi szczepami Indjan, z któremi trudnoby było osiągnąć jakieś spokojniejsze życie.

Ten wysiłek niewspółmierny wobec osiągalnych zdobyczy odstraszał ostrożniejszych, aczkolwiek zarówno w tej, jak i innych okolicach Peru, mimo to, osiadło naogół sporo Polaków, którzy z mniejszym lub większym trudem, jakoś sobie radzą, choć zresztą niejedna rodzina padła ofiarą malarji, czyli żółtej febry. Wiele zresztą innych niebezpieczeństw zawsze czyha na pozostałych przy życiu kolonistów.

W lepszych nieco warunkach, aniżeli Polacy, znajdują się koloniści, należący do innych narodowości, jak Włosi, Francuzi, Niemcy, a nawet Anglicy.

Szczepy Indjan zamieszkałych Peru są potomkami słynnych Inków, których przypomniano sobie świeżo dzięki dokonanym odkryciom starożytnych miast na rozległych terenach puszcz. Przed kilku laty unoszący się w przestworzach lotnicy zauważyli w północnej części tego kraju resztki wielkiego muru, przypominającego mur chiński. Mur ten istniejący około tysiąca lat, ułożony jest z olbrzymich bloków kamiennych. Wysokość muru ma około pięciu, szerokość zaś od czterech do pięciu metrów. Zbudowany on został prawdopodobnie przez Indjan Czamaszów, celem obrony przed Inkami, którzy mimo to zajęli jednak później owe tereny. Sami zaś, nie mając już obawy przed nowymi najeźdźcami, zaniedbali naprawy zrujnowanych części muru, gdyż stracił wogóle dla nich rację bytu.

Gigantyczne budowle nie ustępują co do rozmiarów piramidom egipskim. Architektura jednak ma charakter oryginalny, nie spotykany dotychczas gdzieindziej, o licznych stopniach. Zdumienie ogarnia każdego kto tu przybędzie, w jaki sposób można było poukładać jeden na drugim tak olbrzymie bloki kamienne, całe poprostu skały wyrównane i ociosane odpowiednio. Możnaby było mówić o cyklopach, gdyby tego kraju nie dzieliła tak wielka odległość od starożytnej Grecji, gdzie mitologja opowiadała cuda o pracach olbrzymów, noszących to miano. Wiadomo zresztą, że Inkowie nie używali do pracy zwierząt pociągowych, nie znali żelaza, ani wyobrażali sobie jazdy, czy przesuwania przedmiotów na kołach. Jedyną więc możliwością w tym wypadku była mozolna praca własnych mięśni, przy pomocy lin i pali drzewnych. Ilu Inków przytem zginęło zmiażdżonych pod przesuwanemi z miejsca na miejsce blokami, żadna ich kronika nie opowie, stwierdzono bowiem, że pisma wcale nie posiadali. A przecież sam widok tych bloków przygniata. Co za przykład energji i nieustraszoności w podejmowaniu tytanicznych prac!

Znana jest jednak już dawno zasada, iż żadne stworzenie nie ma wytrzymałości podobnie jak człowiek, który do wszelkich warunków życia i stref i klimatu jest zdolny przystosować się w miarę potrzeby.

—o—

Raj kobiet

MODNE BLUZECZKI



Zbliża się okres jesienny, okres w którym zaczynamy nosić kostjumy. Moda tegoroczna nie wniosła specjalnej zmiany w kroju kostjumów — nosimy nadal, zawsze eleganckie kostjumy angielskie i trzyćwierciowe. Jedynie widzimy pewne zmiany w fasonie bluzeczek, szczególnie w wykończeniu. Dzisiaj podajemy kilka modeli ślicznych bluzeczek, bardzo modnych w nadchodzącym sezonie.

J 70 137 Bluzeczka z sztucznego, wzorzystego jedwabiu, z kimonowemi rękawkami i kołnierzykiem z białego jedwabiu. Dekolt czworokątny zapinany z tyłu na guziczki.

J 70 136 Młodociana bluzeczka z jasnej organdyny. Potrzeba 2,85 cm materjału przy szerokości 80 cm.

J 70 135 Skromna bluzeczka z cienkiego, bawełnianego materjału w kratę. Trzyćwierciowe rękawy.

J 70 139 Przybraniem tej ładnej bluzeczki z lekkiego jedwabiu jest haft i mereżki.

J 70 134 Kołnierzyk i mankiety z białej, matowej krepy, przybrane stebnowaniem i zapięte na ciemne guziki.

J 70 138 Twarzowy kołnierzyk z małym żabocikiem z czerwonej w białe punkty organdyny.

Kroje powyższe (Lyona) nabyć można w naszej administracji za poprzedniem nadesłaniem 1,20 zł przez P.K.O. 207 393. Kroje kołnierzyków w cenie 0,80 zł za sztukę.

Zaasekurowany uśmiech

Muzycy asekurują palce, tancerze nogi, a śliczna Angielka, Miss Betty Spurling, pozująca do różnych ogłoszeń, a zatem najczęściej fotografowana w Anglji kobieta, zaasekurowała swój uśmiech na 5.000 dolarów.

Prawdziwa recepta na długowieczność

Nowy eliksir młodości

Jeden z amerykańskich lekarzy wynalazł nową receptę na długowieczność. „Jedzcie codziennie wodorosty na śniadanie, a będziecie mogli żyć nawet dwieście lat" — woła ów lekarz. Sam, aczkolwiek wygląda zdumiewająco młodo na swój wiek, jednak nie pragnie bynajmniej zdobywać rekordów długowieczności.

Mimo to utrzymuje, że wodorosty zawierają istotnie jakiś niezwykle pożywny składnik. To ożywcze działanie przypisuje on zawartości jodu w wodorostach.

Ze świata

Damy w maskach gazowych

Nowy wyczyn mody

W Paryżu, jeden z bardziej znanych salonów mody zaprezentował swoim gościom nową kreację: maskę gazową. Dyrektor wyjaśnił zdumionym damom, że niema żadnej dobrej racji, dla której elegancka młoda dama nie miałaby wyglądać szykownie... w masce. Modna maska przybrana jest złotemi paskami na czole, a wykończona frędzlami. W takiej masce paryska strojnisia może się śmiało pokazać swoim znajomym, nie obawiając się, że wygląda jak maskara. Manekiny, które demonstrowały te nowe arcydzieła zostały powitane zgodnym grzmotem oklasków.

ZAWALIDROGA MA GŁOS

U nas, w Polsce, to człowiek nawet sportowcem nie może być, bo za to czasem nieprzyjemność spotka. Tak było i ze mną.

Taką mam naturę, że lubię patrzeć, jak się grzeją. Jak się dowiem, że na drugiem końcu miasta wycisk odchodzi, ganiam tam żywo, żeby się nie spóźnić. Taki już sportowiec jestem.

Raz to nawet dorożkie wziąłem, kosztowało mnie to złoty, ale przyjemności miałem za dziesięć.

Dwóch pokrajanych pogotowie do szpitala na ciężkie uszkodzenie ludzkiego ciała odwiezło. A reszta poszła piechotą do mamra

Ale teraz rzadko się coś porządnego trafia. Baba babę fajerkom w ciemie gruchnie i po krzyku. Aż wstyd za świadka iść.

Właśnie wczoraj nudziłem się spowodu upału Poszłem sobie znakiem tego na spacer.

Idę sobie ulicą i widzę, że w bramie dwie kobiety się zeszli i zaczęli sobie dokuczać od ostatnich szantrap, kociodrapów i robonów.

Myślę sobie, trza wstąpić na chwilę i posłuchać jak się kształcą. Całe życie się człowiek uczy i nigdy nie wiadomo, co i gdzie nowego usłyszeć można.

W ogólności nie było nic nadzwyczajnego. Dopiero jak się zaczęli łoić łopatką od węgli i pułapką z żywom myszą, było na co popatrzeć. Zabrali ich potem do komisarjatu, a mnie za świadka.

— Jak pan wywnioskował, która z bijących się była stroną zaczepną? — pyta się mnie dyżurny przodownik.

— Niby która gorsza? — odpowiadam. Obydwie kobiety odpowiedzialne. Ta pani ma lepsze uderzenie z wierzchu, tylko co biedactwo mogło zrobić drucianą pułapką! Nic. W dodatku się bała, żeby mysza jej nie uciekła.

Ta druga znowuż pani od spodu ma rozmach niezgorszy, ale łopatka instrument niepo-ręczny. I w taki sposób do niczego nie doszło.

Więcej nie miałem o czem zeznawać i chce iść do domu, a te dwie baby dawaj na mnie pyskować.

— Wszystko to bez tego przybłędę co tu jest za świadka — mówią. Zwyczajnie przemawiałyśmy się po sąsiedzku, a ten się przytalentał i dawaj podpuszczać.

— A łopatką ją w makolągwę! Nie daj się pani starsza! Lu ją klatką po piegach. No i ma się rozumieć zaczęliśmy się bić... A on jeszcze nie dał sąsiadom rozbraniać, dopiero policja wszystko załagodziła!

Tak to mnie na glans te baby przed przodownikiem obgadali. Pan władza rozgniewał się na mnie i krzyczy:

— To to tak! To z pana ładny świadek.

Ja się tłomaczę, że tylko zaznaczyłem, że jak się mają kłócić, niech się lepiej biją.

Ale przodownik nie chciał już słuchać, tylko mnie też również takżesamo do protokułu załączył.

Będę podobnież miał sprawę w starostwie. I bądź tu człowieku w tych waronkach zamiłowanem sportowcem!

Co słychać w polityce?

Po niedzielnem rozbiciu się rokowań trzech mocarstw na czwartkowem posiedzeniu rady ministrów w Londynie, sprawa abisyńska zbliża się nieodwołalnie do ostatecznego rozstrzygnięcia.

Wprawdzie, na skutek interwencji francuskiego ministra spraw zagranicznych Lavala, który zwrócił uwagę, iż nie należy utrudniać prób zażegnania wojny i nie należy jątrzyć dumy narodowej Włoch, rząd brytyjski powziął decyzje pełne umiarkowania, zmierzające w drodze dyplomatycznych rokowań z Paryżem z jednej i Rzymem z drugiej strony, do kontynuowania wysiłków w kierunku pokojowego załatwienia sporu. W możliwość takiego załatwienia nikt jednak nie wierzy. Włosi gorączkowo gotują się do zajęcia Abisynji. Z możliwością wybuchu zbrojnego konfliktu, jeszcze przed zebraniem się Rady Ligi Narodów, wyznaczonym na dzień 4 września b. r. liczono się widać w Londynie, skoro rząd angielski godząc się zasadniczo na utrzymanie zakazu wywozu broni, a to w celu nieutrudniania pracy dyplomacji angielskiej w kierunku znalezienia podstaw dla pokojowego załatwienia zatargu, udzielił jednak ministrowi spraw zagranicznych pełnomocnictw do zniesienia tego zakazu w wypadku, gdyby zaszła ku temu potrzeba.

Gabinet angielski stanął na gruncie ścisłego wypełnienia postanowień zawartych w Statucie Ligi Narodów. Innemi słowy całokształt zatargu włosko-abisyńskiego przeniesie się na forum Ligi, gdzie rozstrzygnie się również kwestja ewentualnej sankcji przeciwko Włochom. Jest to najniebezpieczniejszy punkt w obecnej fazie zatargu włosko-abisyńskiego. Przeprowadzenie postanowień sankcyjnych **może łatwo pożar abisyński przerzucić na Europę.** Niedopuszczenie do tego staje się najpilniejszem zadaniem dyplomacji francuskiej, która w nadchodzącym okresie, będzie miała do spełnienia niezwykle trudną rolę pośrednika, w sprawie najdrażliwszej, jaka kiedykolwiek absorbowała uwagę polityków i dyplomatów po wojnie. Z jednej strony Francja nie może dopuścić do osłabienia więzów łączących ją z Anglją, z drugiej nie może, ze względu na ogólną sytuację europejską zrzec się przyjaźni, tak zresztą niedawnej z Włochami. Minister Laval — mistrz od układów, będzie miał w nadchodzącym tygodniu, poprzedzającym posiedzenie Rady Ligi niezwykle trudne zadanie.

Gdyby medjatorska akcja Lavala nie odniosła skutku, gabinet angielski zdecydował się na zastosowanie sankcji, narazie w ograniczonej formie, represji gospodarczych, polegających na represjach gospodarczych, przez wstrzymanie wszelkich kredytów dla Włoch i blokadę surowca. To ostatnie może stać się dla Włoch szczególnie dotkliwe, gdyż pociągnęłoby za sobą wstrzymanie dowozu surowców wojennych, jak gumy, węgla, niklu, cynku itp.

Anglja znajduje się w chwili obecnej w sytuacji, która powagą swą przypomina dramatyczne dni sierpnia 1914 roku. Od stanowiska Wielkiej Brytanji zależy wojna lub pokój. Jedynie, najwyższym rozsądkiem miarkowana stanowczość dyplomacji angielskiej, może uratować sytuację.

Trzeba przyznać, że stanowisko Włoch, zadania Anglji ani Francji nie ułatwia.

Włochy dążą do wojny, której wybuch, mimo kurczowego trzymania się w Paryżu i Londynie, kruchej deski nadziei, nastąpić może już w najbliższych dniach.

Przygotowania wojenne Włoch w Abisynji nietylko nie osłabły, ale przeciwnie, wzmogły się. Niema dnia, by z portu w Neapolu czy innych portów włoskich nie wyjeżdżał jeden albo kilka statków z wojskami i materjałem wojennym, przeznaczonym dla Afryki Wschodniej.

Najciekawsze audycje Polskiego Radja w Warszawie

od dnia 1. IX. do 7. IX. 1935 r.

Niedziela, dnia 1 września 1935 r.

9.00 Audycja poranna 9.03 Gazetka rolnicza 9.15 Muzyka 9.40 Dziennik poranny 10.00 Transmisja Nabożeństwa 11.57 Sygnał czasu i hejnał 12.03 Przegląd teatralny 12.15 Poranek muzyczny. W przerwie fragment słuchowiskowy 14.00 Fragment powieści p. t. „Dziewczęta z Nowolipek„ 14.20 Muzyka 15.00 Godzina rolnika 16.00 Opowiadanie dla dzieci starszych 16.15 Recital skrzypcowy (z Krakowa) 16.45 Cała Polska śpiewa 17.00 Muzyka taneczna 17.40 Audycja słowno muzyczna 18.00 Miniatury kwartetowe 18.30 Słuchowisko 19.00 Zapowiedz programu 19.10 Koncert reklamowy 19.25 Wiadomości sportowe 19 30 Jazz dwufortepianowy 19.45 Co czytać? 20.00 Transmisja ze statku „Piłsudski" 20.30 Muzyka (płyty) 20.45 Wyjątki z pism Józefa Piłsudskiego 20.50 Dziennik wieczorny 21.00 Na wesołej lwowskiej fali 21.30 Podróżujmy 21.45 Wiadomości sportowe 22.00 Muzyka taneczna.

Poniedziałek, dnia 2 września 1935 r.

6.30 Audycja poranna 11.57 Sygnał czasu i hejnał 12.05 Wiadomości meteorologiczne i dziennik południowy 12.15 Koncert tria 13.05 Muzyka 13.25 Chwilka dla kobiet 15.15 przegląd giełdowy i wiadomości o eksporcie polskim 15.30 Koncert 16.00 Lekcja języka niemieckiego 16.45 Skecz aktualny 17.00 Pogadanka dla kobiet 17 15 Minuta poezji 17.20 Meethoven: Trio op. 11. 17.50 Pogadanka Br. Winawera 18.00 Orkiestra mandolinistów 18.30 Audycja dla dzieci 18.40 Zycie kulturalne i artystyczne stolicy 18.45 Muzyka 19.00 Skrzynka rolnicza 19.20 Koncert reklamowy 19.35 Wiadomości sportowe 19.50 Pogadanka aktualna 20.00 Muzyka 20.30 Recital śpiewaczy 20.45 Dziennik wieczorny 20.55 Obrazki Polski współczesnej 21.00 Wesoła audycja muzyczna 21 30 Wieczór literacki 22.00 Koncert symfoniczny 23.00 Wiadomości meteorologiczne 23.05 Muzyka taneczna.

Wtorek, dnia 3 września 1935 r.

6.30 Audycja poranna 11.57 Sygnał czasu i hejnał 12.03 Dziennik południowy 12.15 Audycja dla szkół 12,35 Fragmenty ulubionych symfonji 13.25 Chwilka dla kobiet 13.30 Z rynku pracy 15.15 Przegląd giełdowy i wiadomości o eksporcie polskim 15.30 Koncert 16.00 Skrzynka P. K. O. 16.15 Recital skrzypcowy 16 45 Cała Polska śpiewa 17.00 Odczyt 17.15 Zespół Wiktora Tychowskiego i Ludwik Lawiński 17.50 Encyklopedja mówiona 18.00 Utwory fortepianowe 18.30 Szkic literacki 18 45 Muzyka 19.00 Wiadomości rolnicze 19.10 Zapowiedź programu na dzień następny 19.20 Koncert reklamowy 19.35 Wiadomości sportowe 19.50 Pogadanka aktualna 20.00 Biuro Studjów rozmawia ze słuchaczami P. R. 20.10 Koncert 21.00 Dziennik wieczorny 21.10 Obrazki z Polski współczesnej 21.15 Muzyka operetkowa 22.00 Muzyka salonowa 22 30 Obrazki z dalekiej Mongolji 22.45 Muzyka 23.00 Wiadomości meteorologiczne 23.05 Mała Orkiestra P. R.

Środa, dnia 4 września 1935 r.

6.30 Audycja poranna 11.57 Sygnał czasu i hejnał 12.03 Dziennik południowy 12.15 Pogadanka dla kobiet 12.30 Koncert 13.25 Chwilka dla kobiet 15.15 Przegląd giełdowy i wiadomości o eksporcie polskim 15.30 Muzyka taneczna 16.00 Audycja dla dzieci starszych 16.20 Muzyka 16 45 Pogawędka o muzyce 17.00 Reportaż 17.15 W muzykalnym domu — audycja muz. 17.50 Swiat się śmieje 18.00 Koncert kameralny 18.30 Skrzynka ogólna 18 40 Zycie kulturalne i artystyczne stolicy 18.45 Muzyka lekka 19.00 Pogadanka rolnicza 19.10 Zapowiedź programu na dzień następny 19.20 Koncert reklamowy 19 35 Wiadomości sportowe 19.50 Reportaż z cyklu „Samoloty i ludzie" 20.00 Koncert 20.45 Dziennik wieczorny 20.55 Obrazki z Polski współczesnej 21.00 Audycja Chopinowska 21.35 Kwadrans poezji 21.50 Pogadanka (z cyklu Zdobycze medycyny) 20.00 Koncert 23.00 Wiadomości meteor. 23.05 Muzyka taneczna.

Czwartek, dnia 5 września 1935 r.

6.30 Audycja poranna 11.57 Sygnał czasu i hejnał 12.05 Dziennik południowy 12. 5 Koncert 13 00 Muzyka salonowa 13.25 Chwilka dla kobiet 15.15 Przegląd giełdowy i wiadomości o eksporcie polskim 15.30 Koncert 16 00 Opowiadanie dla dzieci młodszych 16.15 Utwory fortepianowe 16.45 Cała polska śpiewa 17.00 Reportaż 17.15 Koncert Orkiestry Wojskowej 57 p. p. (z Poznania) 17.50 Odczyt 18.00 Koncert 18.30 Odczyt 18.40 Pogadanka 18.45 Muzyka 19.00 Nowiny leśne 19.20 Koncert reklamowy 19.35 Wiadomości sportowe 19.50 Pogadanka aktualna 20.00 Muzyka lekka 20 45 Dziennik wieczorny 20.55 Obrazki z Polski współczesnej 21.00 Słuchowisko 21.35 Koncert 22.00 Muzyka taneczna.

Piątek, dnia 6 września 1935 r.

6.30 Audycja poranna 11.57 Sygnał czasu i hejnał 12.03 Dziennik południowy 12.15 Audycja dla szkół 12.40 Koncert 13.25 Chwilka dla kobiet 13.30 Z rynku pracy 15.15 Przegląd giełdowy i wiadomości o eksporcie polskim 15.30 Koncert 16 00 Pogadanka dla chorych 16.15 Koncert 16.45 Pogadanka przyrodnicza 17.00 Reportaż 17 15 Minuta poezji 17.20 Koncert 17.50 Poradnik sportowy 18 00 Koncert chóru mieszanego 18.30 Pogadanka aktualna 18.40 Zycie kulturalne i artystyczne stolicy 18.45 Muzyka lekka 19.00 Skrzynka rolnicza 19.10 Zapowiedź programu na dzień następny 19.20 Koncert reklamowy 19.35 Wiadomości sportowe 19.50 Aktualny monolog 20.00 Koncert muzyki lekkiej 21.00 Dziennik wieczorny 21.10 Obrazki z Polski współczesnej 21.15 Koncert symfoniczny 22.30 Szkic literacki 22.45 Koncert Orkiestry P. R.

Sobota, dnia 7 września 1935 r.

6.30 Audycja poranna 11.57 Sygnał czasu i hejnał 12.03 Dziennik południowy 12.15 Koncert 14.30 Muzyka salonowa 15.00 Recytacja prozy 15.15 Przegląd giełdowy 15.25 Nasz handel morski 15.30 Koncert solistów 16.00 Lekcja języka francuskiego 16.15 Muzyka (płyty) 16.30 Skrzynka techniczna 16.45 Cała polska śpiewa 17.00 Nabożeństwo z Ostrej Bramy w Wilnie 17.50 Pogadanka 18.30 Przegląd wydawnictw 18.40 Pogadanka społeczna 18.45 Muzyka płyty 19.00 Przegląd prasy rolniczej 19.10 Zapowiedź programu na dzień następny 19.20 Koncert reklamowy 19.35 Wiadomości sportowe 19.50 Pogadanka aktualna 20.00 Muzyka operetkowa 20.45 Dziennik wieczorny 20.55 Obrazki z Polski współczesnej 21.00 Audycja dla Polaków zagranicą 21 30 Wesoła Syrena 22.00 Koncert Orkiestry P. R. 23.00 Wiadomości meteorologiczne 23.05 Stare piosenki 23.20 Muzyka taneczna.

CHWILA ZASTANOWIENIA

ROZSYPANKA BOTANICZNA

uł. „Em-zet."

I - i - i - e - e - en - rys - so - rze - dąb - zło - je - u - cie - wa - tus - ła - nie - wień - li - wie - ka - sna - mio - ja - lip - ma - dyw - gli

Wyrazy pomocnicze: 1. Kwiat ogrodowy 2. Drzewo 3. Kwiaty 4. Odmiana wierzby 5. Drzewo (rośnie w krajach podzwrotnikowych) 6. Drzewo 7. Jarzyna (rodzaj sałaty) 8. Drzewo iglaste 9. Posiadają je niektóre drzewa 10. Roślina kępowa, rosnąca w Tatrach 11. Inaczej rabarbar. (Pierwsze litery czytane pionowo dadzą rozwiązanie.

BILETY WIZYTOWE

OTTO D. SARPEY

TAD. J. HR. KONECI

LENA Y. TATRASKA

Za rozwiązanie powyższych zadań redakcja wyznacza nagrodę w postaci książek. Rozwiązania należy nadsyłać do piątku 6 września b. r.

Rozwiązanie zadań z nr. 33 „Moich Powieści: Konikówka: Chcesz być czemś w świecie, to się ucz, abyś nie zginął w tłumie, bo nauka to potęgi klucz, u tego siła i moc, kto więcej umie. Anagram: brak, karb, krab.

Trafne rozwiązania nadesłali pp.: Edmund Jankowski — Nowemiasto, Ludwik Dulat — Zbąszyń, Roman Stęczniewski — Sulmierzyce, Genowefa Wieczorkówna — Chorzów, Helena Jaskulska — Budziaki, Józef Cichowski — Byszki, Wacław Bultrowicz — Gniezno, Lola Gmerkowa — Gdynia, K. Mikstacki — Kostrzyn.

Nagrody w drodze losowania przypadły pp. Loli Gmerkowej z Gdyni, ul. Słupecka 30 i K. Mikstackiemu z Kostrzyna, ul. Dworcowa 7.

Wśród warjatów

Upiór zamku Sokolskich

(Romans)

51)

Pieściła ją i całowała, przyciskała do swej wychudłej, zapadłej piersi nucąc piosenkę, niby dziecku do snu.

Drzwi otwarły się bez szelestu, doktor stał nie ruszając się, a jednak chora, której zmysł słuchu zdawał się być wydelikacony, zwróciła wzrok swój ku nowoprzybyłym, położyła palce na ustach i szepnęła:

„Cyt, nie budźcie mi dziecka, wchodźcie pocichu, biedactwo, było tak długo chore, teraz śpi, patrzcie jak słodko śni mój robaczek."

I głosem cichym a trzęsącym, od którego męskie serca zadrżały, zanuciła:

Śpij dziecino, śpij,
Zamknij oczka śnij —
Śnij o kwiatach, śnij radośnie
Niemasz snu jak w życia wiośnie,
Jutro, gdy kraśny zabłyśnie ranek,
Ja ci z lilijek uplotę wianek,
Włożę na główkę, luba dziecino,
Mojeż ty złotko, — moja ptaszyno!

„Zostańcie przy drzwiach, Walenty", szepnął doktor do starego sługi, „teraz ja będę z nią mówił."

„Ona się zaraz przestraszy", rzekł półgłosem Walenty. „W ostatnich czasach zagrzebała się już całkiem w tym pokoju, gdy się tylko kto do niej zbliży, drży na całem ciele."

Doktor postąpił na palcach ku biednej ofierze i nachylił się ku niej.

„Dzień dobry, pani!" rzekł dźwięcznym głosem.

Chora podniosła głowę, gwałtownym ruchem odrzuciła siwe włosy w tył, nieprzyjaznym wzrokiem zmierzyła młodego lekarza, kurczowo przyciskając lalkę do piersi.

„Ktoś ty, czego chcesz?" zawołała. — Ha! Tyś morderca, najęto cię, byś moje dziecko zabił. Zostaw mi je, błagam cię! Jeżeli masz okruszynę serca, miej litość nade mną; ja nic nie mam na ziemi, prócz tej dzieciny. Patrz na tę niewinną twarzyczkę! Śpij, robaczku, śpij! Prędzej dam życie swoje, — jak — — na pomoc, — ratunku, — morderca!".

A mówiła to głosem raz krzyczącym i przeraźliwym, to znowu łagodnym lub płaczliwym. Przy ostatnich słowach zerwała się i z lalką, którą za dziecko swoje uważała, cofnęła się w kąt pokoju.

Tu przycisnęła się do ściany, drżąc na całem ciele, — w rysach jej malowało się przerażenie i strach.

„Walenty", rzekł doktor do służącego, „powiedźcie mi otwarcie: nie było z tego stosunku, jaki nieszczęśliwą ongiś z hrabią Zygmuntem łączył, dziecka?"

„A było, panie doktorze, nasza hrabina Lola, która od niedawna jest zamężną hrabiną Zamską."

„Tylko ta jedna córka?"

„Tak, tylko ta jedna."

„Szczególne, jeżeli ta córka żyje i chora może ją widywać, dlaczego bawi się lalką i uważa ją za swoje dziecko! Jednak, któż to zbadał! Dłuższy czas będę musiał ją obserwować, zanim dojdę po nici do kłębka!"

Podszedł ku chorej, która coraz więcej za zbliżaniem się jego drżała. Jedną rękę wyciągnęła błagalnie, jakby go zaklinać chciała, by się jej dziecka nie dotykał.

„Niech się pani nie boi", rzekł Haler, „jam przecież lekarz, którego pani zawezwać kazała."

„Ja", — wyjąknęła chora, — „kazałam pana wezwać?"

„No, pewnie! Nie przypomina pani sobie, że dała Walentemu zlecenie, by mię sprowadził, bo dziecko zachorowało? Przyszedłem więc, by dziecięciu pani pomóc, by je zachować przy życiu.

Chora podniosła głowę i patrzyła osłupiałym wzrokiem przez kilka minut na doktora niedowierzająco, wreszcie poskoczyła ku niemu, podając ostrożnie lalkę.

„Daruj pan, panie doktorze", rzekła przyciszonym głosem, „żem pana zaraz nie poznała. Tak, pan przyszedł z pomocą dla mego dziecka. Ono chore i to bardzo chore. Ale nie umrze? Nie, nie!" zawołała z namiętnością w głosie, „ono nie śmie umrzeć! Doktorze, coby się ze mną stało, gdybym tę istotę małą straciła! Doktorze!" — rzekła, do szeptu głos swój zniżając, „w tajemnicy powiem panu, dziecku memu zadali truciznę, spiesz się, na miłość Boską, ratuj! Patrz, nie czujesz, że już kostnieje, rób co!"

„Skąd pani wie, że dziecko struli?" — pytał doktor, biorąc za woskową rękę lalki, jakby jej chciał puls badać, — „któżby się miał odważyć na taką zbrodnię?"

„Tylko mię pan nie zdradź", rzekła szeptem, trwożliwy wzrok na Walentego rzucając, „któżby inny jak hrabina, ta czarnowłosa! Wydarła mi jego serce a teraz do tego mię tu więzi! Co nocy przychodzi do mnie, kładzie rękę na mem sercu z ciekawości, czy jeszcze bije. Bije jeszcze, bije, ale coraz słabiej i niedługo zupełnie ustanie."

„Niech się pani o dziecko nie boi", rzekł lekarz, „ja je uzdrowię i to napewno. Nie jest zresztą wcale tak bardzo chore, jak się pani zdaje!"

„Bóg ci zapłać", rzekła z płaczem, „Bóg cię pobłogosławi! Gdy dziecko uratujesz i mnie życie! Ale panie, prawda, że pan powiesz memu królowi, że ja nie jestem tak zła! — Ja przecież nie żadna ulicznica, ja go tak kochałam, tak wiernie i tak namiętnie jak żadna. Ale król nie chce, bym żoną jego została, a ona, ona także nie chce! A teraz chcą mi jeszcze zabrać to, co mam jedynego na świecie, moje dziecko, moje biedne dzieciątko!"

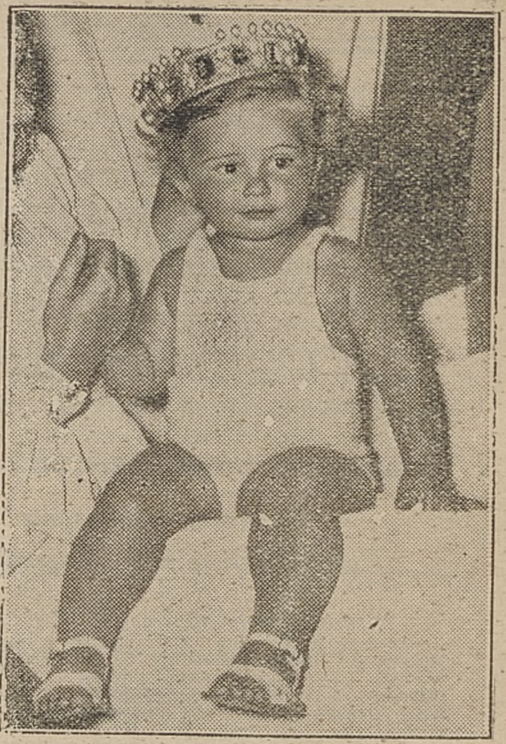
I znowu przycisnęła lalkę do piersi, pieszcząc ją i całując.

Następnie usunęła się napowrót na dywan i zaczęła melancholijnym głosem nucić piosenkę.

Doktorowi wystarczało narazie, wiedział, czego miał się trzymać i do czego zastosować.

Nie chcąc zresztą dłużej chorej obecnością swoją niepokoić, poprzedzony przez Walentego, cofnął się do swego pokoju.

„Jakżeż panie doktorze, co pan o tem sądzi? — Jest jaka nadzieja, lub też nie?"



Na wystawie światowej w Brukseli odbył się oryginalny wybór „mysi-królika", którym został 16-miesięczny Guy Azausa

„Mój kochany Walenty", odrzekł młody lekarz, „na to pytanie, choćbym chciał, obecnie nie mógłbym dać stanowczej odpowiedzi. Choroba to ciężka, ale cierpienie jej żadną miarą nie jest fizyczne, tylko chorobą duszy! Chodzić będzie przedewszystkiem o to, by stwierdzić, w jaki sposób to wstrząśnienie gwałtowne, od którego choroba początek swój wzięła, nastąpiło. Zwyczajnie urojenia, które się w mózgu nieszczęśliwego chorego zagnieździły, zwalcza się innemi urojeniami, sztucznie wywołanemi. Ot tak, jakby truciznę trucizną z organizmu wypędzał. Na każdy sposób robić będę, co tylko w siłach moich, ale teraz chodzi o to, by jej dnia i nocy z oka nie spuszczać."

Walenty skłonił się i kiwając głową oddalił.

Znalazłszy się sam w pokoju, założył doktór ręce na plecy i gorączkowo zaczął się przechadzać po pokoju.

Był głęboko wzruszony. Nigdy jeszcze widok chorego nie wzruszył go tak, jak obraz tej biednej, nieszczęśliwej.

„Nie ulega wątpliwości", mówił do siebie, „że ta choroba datuje się od dziecka. Hrabia opowiadał mi, że je jej w domu obłąkanych zabrano i potem jakiś zacny człowiek, którego nazwiska mi nie podał, wychował je. Długie lata była nieszczęśliwa pozbawiona widoku swej córki, aż szczęśliwy traf sprowadził ją napowrót w ramiona ojca, hrabiego Zygmunta.

„Tego jednak nie pojmuję, że — jak mię hrabia zapewniał, — młoda hrabianka najmniejszego wrażenia na chorą nie wywiera. Opowiadał mi, że się córka przed matką na kolana rzuciła, tuliła się do niej, matką nazywała, a chora nie tylko, że się tem nie wzruszyła, ale Lolę jeszcze od siebie odtrąciła.

„A przecież myśli jej ustawicznie tylko dzieckiem zajęte, pieści i całuje lalkę, którą za córkę swoją uważa. To jest sprzeczność, której w tej chwili nie mo-

gę zrozumieć. Przyszłość mam nadzieję, da jednak rozwiązanie tej dla mnie wielkiej zagadki“.

LXXIII.

Zakała rodziny.

Dni następne poświęcił Henryk wyłącznie chorej. Badał ją, obserwował, a gdy był sam, przetrawiał odebrane wrażenia, wertował po księgach, zastanawiał się, kombinował, szukając nici do kłębka, drogi najpewniejszej do kuracji nieszczęśliwej chorej. Tak był nią zajęty, że mu nawet na myśl nie przyszło, oglądnąć stary i sławny zamek. Nawet po parku nie przeszedł się, choć co prawda, pora roku nie była ku temu, by mógł odczuwać potrzebę tego.

Czwartego dnia jednak koło południa, — gdy wiatr od kilku dni szalejący, ustał i słonko zaświeciło, zebrała go ochota, by się przejść po ogrodzie. Przekonawszy się raz jeszcze, w jakim stanie pacjentka się znajduje i że jej nic nie zagraża, zdał opiekę nad nią starej klucznicy, która teraz miejsce Elżutki zastępowała i pod każdym względem zaufania godną była.

Stąpał po ogrodzie bez wytkniętego celu, wciągał w siebie pełną piersią świeże, czyste powietrze, sam ogród jednak nie zdawał się go interesować.

Świeże powietrze i blaski słoneczne dobrze zrobiły mu na chwilę, spacer jednak nie przyniósł mu tego orzeźwienia, jakiego się po nim spodziewał. Czy to sprawił ustawiczny pobyt przy chorej przez tych dni kilka, czy trwoga o matkę lub tęsknota za ukochaną dziewczyną, dość na tem, że przygnębienie jakieś ciężyło na nim.

Jedna myśl zwłaszcza dręczyła go niewypowiedzianie i podkopywała nadzieję jego w przyszłe szczęście.

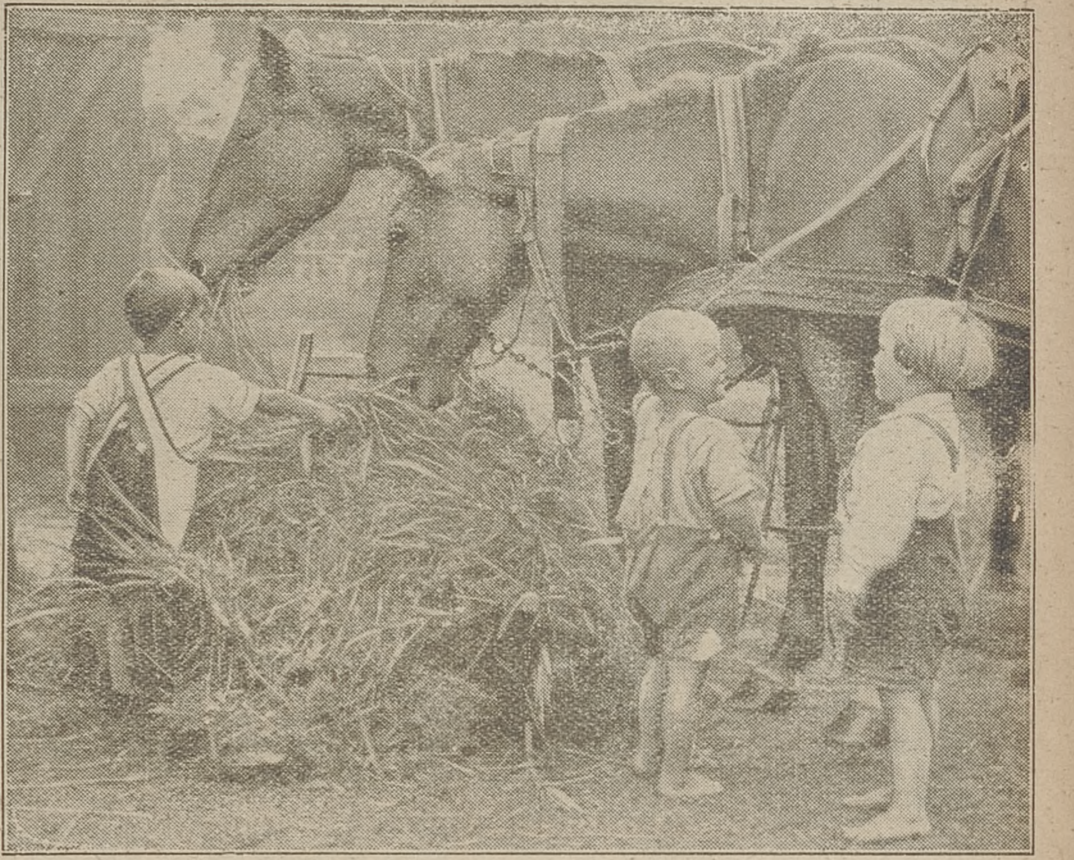
W czasie pobytu na zamku Sokolskich, już trzy razy zabierał się, by Anielci długi, wyczerpujący napisać list, dotychczas bowiem tylko matce przesyłał krótkie wiadomości o podróży i powodzeniu, jakiem się tu na zamku cieszy.

Na list do Anielci zdobyć się jednak nie mógł, co kilka początkowych wierszy skreślił, po krótkim namyśle darł je, odkładając na później.

Nie mógł się zdobyć na odwagę, by raz przecie ukochaną dziewczynę wtajemniczyć w ponurą przeszłość swego życia, odkryć zasłonę okrywającą tajemnicę rodziny.

A jednak stać się to raz przecie musiało, prędzej czy później musiała się Anielcia dowiedzieć o tej tajemnicy, którą obecnie z matką tylko dzielił.

„Im prędzej, tem lepiej“ — rzekł teraz do siebie, ocknąwszy się z zadumy. W myślach pogrążony, sam nie wiedział, jak to się stało, że dawno już park opuścił i znajdował się na drodze prowadzącej do miasta. „Tak — przedtem jeszcze, zanim stanie zemną u ołtarza. Musi się dowiedzieć, kto ja jestem i jaka straszna tragedja rozegrała się w naszej rodzinie. Nie mogę jej przecież dać swojego nazwiska, zanim jej nie powiem, jaka straszna plama na niem spoczywa. Nie wolno mi jej pojmować za małżonkę, zanim jej otwarcie nie po-



Trójka malców, którą widzimy na obrazku, ma ogromną chęć wykierować się na woźniców

wiem, że ten, którego imię z czcią powinienby właściwie wymawiać, ten, któremu życie zawdzięczam, którego ojcem swoim zwać muszę, był nikczemnikiem, zbrodniarzem, który dziesięć lat swojego życia przepędził w więzieniu“.

Ostatnie słowa wypowiedział z taką gwałtownością, jakby chciał z niemi zarazem zrzucić ciężar duszę mu przygniatający i zmorę dręczącą odpędzić. Zwolna przesuwały się przed okiem duszy wyobraźnią oświetlone obrazy przeszłości, obrazy własnej młodości.

Ziemia, po której stąpał, była jego ziemią rodzinną, na niej się urodził. Ojciec jego zażywał wielkiej sławy jako lekarz, za żonę pojął nadobną i bogatą córką senatora, który jedynaczce swojej znaczny pozostawił majątek.

Stadło było dobrane, gdy więc po roku urodził się do tego syn, któremu imię Henryka dano, zdawało się, że niema szczęściu miary.

Doktór Maurycy Haler żył cały dla wiedzy. Bezwątpienia, że po nim syn zamiłowanie do zawodu lekarskiego i nauk przyrodniczych odziedziczył. Rozległa praktyka nie wystarczyła ojcu i niezadowalała go, talent jego niepośledni, który go wznosił ponad poziom przeciętnego wykształcenia szukał terenu, na którymby się mógł rozwinąć. Dzieło też jego o chorobach umysłowych zdobyło dla niego nietylko w szerokiem kole uczonych uznanie, ale podziw i zdumienie. Prorokowano mu nadzwyczaj świetną przyszłość.

W tym właśnie czasie Henryk kończył rok dziesiąty. Uczęszczał do gimnazjum i był jednym z najzdolniejszych i najpilniejszych uczni. Rodzice też nacieszyć się nim nie mogli.

Jakby dla okazania, że nic niema pod słońcem stałego, nagle na horyzoncie pogodnego pożycia rodzinnego, ukazała się chmura w nieszczęście ciężarna, która spokój i zadowolenie w domu panujące raz na zawsze zamąciła.

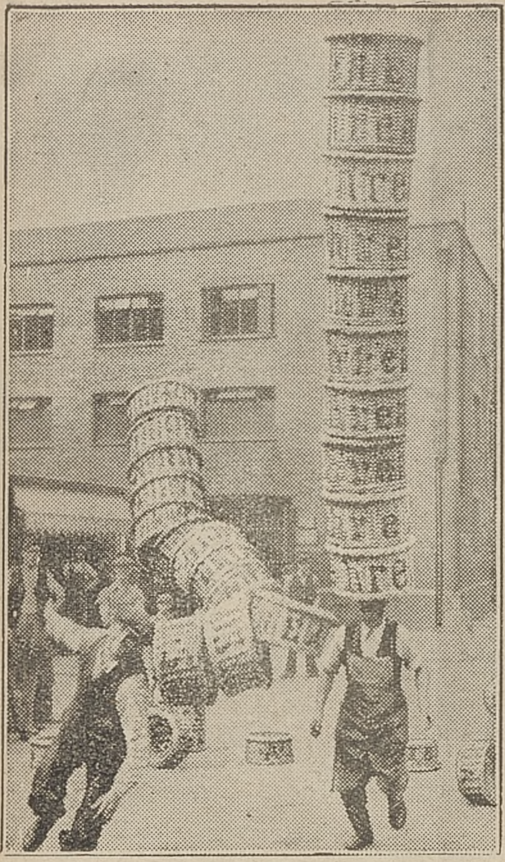
Nieszczęście to przybrało na się postać nadobnej, młodej kobiety.

Aktorka czy śpiewaczka. Henryk sam dobrze nie wiedział, a delikatność wzbraniała mu pytać o to matkę, przyszła raz w czasie godzin ordynacyjnych do jego ojca z prośbą o poradę w jakiemś, nie wielkiem zresztą cierpieniu. Od tej chwili człowiek, co tylko wiedzą i dla wiedzy tylko żył, zmienił się do niepoznania.

Kobieta owa rozbudziła w nim ogień namiętności, którego ani pamięć na rodzinę, ani obowiązki względem chorych, ani też wiedza przytłumić nie zdołały. Raz wpadłszy niebacznie w sidła przez nieuczciwą kobietę zastawione, nie mógł jej zapomnieć, nie mógł pozbyć się ustawicznych myśli o jej piękności ciała, powabach kształtnych form, na które pod pokrywką porady lekarskiej uwagę jego zwracała. Człowiek pracy, dla którego książki były dotychczas obok rodziny, całym światem, zaniedbywał wszystko, nie troszczył się o to, co mu było drogiem, nie troszczył się o pacjentów ani o rodzinę, książki stały nietknięte, wszystkie myśli jego, wszystkie działania skupiały się w tem jednem potężnem pragnieniu: posiąść tę piękną kobietę.

Komedjantka wykorzystywała go, jak mogła, on tego nie widział, czego tylko zażądała, składał u jej nóg: podarki kosztowne, wielkie sumy pieniężne, brylanty, a wkońcu choć nie na ostatniem miejscu poświęcił jej honor własny, honor żonatego mężczyzny, honor ojca.

Po całych nocach nie bywał teraz w domu, nie widywał całemi dniami własnej żony i dziecka. Cały czas przepędzał w towarzystwie tej kobiety w szale namiętności, po większej części w tajnych gabinecikach knajp winiar-



Sprzedawcy rynkowi w Londynie organizują każdego roku tradycyjne biegi z koszami na głowach. Zwycięzca zdobywa nagrodę pieniężną w kwocie 30 funtów. Na zdjęciu widzimy trening przed zawodami

nych, gdzie się szampan lał strumieniami, naturalnie na jego koszt.

Tak majątek, pracą i pilnością zebrany, topniał w jego ręku; z pieniędzy, które mu żona posagiem w dom wniosła, przeszła niemal cała suma do kieszeni aktorki, która oszołomionego miłością, a raczej namiętnością ku niej mężczyznę wyciskała jak cytrynę. Gdy gotówki zabrakło, przyszła kolej na długi. Brnął w nich coraz więcej, a że wszystkiemu koniec być musi i to źródło dochodu zaczęło wysychać, a w ślad za tem nastało formalne oblężenie wierzycieli, którzy mu spokoju nie dali. Pieniądze! Pieniędzy dostać za jakąbądź cenę było jego hasłem teraz, bo tylko z pieniędzmi mógł być pewnym posiadania tej kobiety, która go o moralną, fizyczną i materjalną przyprawiła ruinę.

Zapożyczył się u wszystkich swoich przyjaciół, posprzedawał po kolei cichaczem kosztowności, — ba! do tego w końcu doszło, tak daleko posunął się w upadku swoim, że biżuterje swojej żony pokryjomu zastawił w lombardzie, byleby tylko móc mieć pieniądze dla swojej bogdanki.

Ale to wszystko nie wystarczyło; aktorka na przedmieściu kupiła sobie wspaniałą willę, prowadziła dom na wielką skalę, na koszt doktora.

W tej pogoni za mamoną, popychany szałem ku upadłej kobiecie, szałem, który go z rozumu obrał, wpadł na myśl, która zrealizowana miała się stać źródłem dochodów.

Wstąpił na drogę, po której kroczą zbrodniarze, a zbrodnia, której się chwycił była tem nieciniejsza, że okryta płaszczykiem jego zawodu; tem nikczemniejsza, że nie zwracała się ku tym, którzy ewentualnie bronić się mogą, nie! brała za ofiarę te istoty, które dopiero na świat przyjść miały.

I zaczęli się gromadzić pacjenci do doktora Halera. Ale nie z tych, co dawniej pełni zaufania zwracali się do niego o pomoc w chorobach, nie po dniu, lecz dopiero, gdy noc zapadła, gdy ciemność ulice miasta zaległa, zaczynała się wędrówka pacjentek do niego. Jedna za drugą wsuwała się do domu, oglądając się na wszystkie strony, by kto nie podpatrzył. Były to kobiety i dziewczęta piękne, młode, bogate, dystyngowane, — szukały i znajdowały u doktora Halera radę na troski, które je przygniatały.

A ile to nieszczęścia z jego rąk spływało nieraz na te ofiary, nie zawsze udawały się zbrodnicze operacje, które na nich przedsiębrał. Ciężkie choroby, kalectwo na całe życie, śmierć były nieraz następstwem tej występnej kuracji, którą kazał sobie drogo opłacać, wyszła która z pacjentek cało, sypały się wtenczas tysiące.

Zbrodnia ukrywała się przez czas jakiś, bo interesem tak pacjentek jak i lekarza było, by oko sprawiedliwości ich nie dojrzało i swej karzącej ręki na nich nie spuściło.

Aż raz wydarzył się przypadek, że młoda dziewczyna, córka poważanej rodziny w domu Halera, pod jego rękami życie zakończyła.

Tego ukryć niepodobna było. Upadły lekarz starał się wszystkimi, możliwymi sposobami całe to zajście osłonić, oburzona i przerażona tym wypadkiem rodzina zawezwała pomocy sądów i jeszcze tej samej nocy został Haler aresztowany. Następstwem tego był proces cała kałuża brudów moralnych, ohydy i zbrodni odkrytą została przed trybunałem sędziów.

Na ławie świadków w czasie tego pamiętnego procesu, o którym do dziś jeszcze opowiadają, zasiadło mnóstwo pięknych kobiet i dziewcząt, które z drżeniem spoglądały na oskarżonego. Obejmowała je trwoga, by nie podzieliły losu oskarżonego jeszcze w ciągu rozprawy.

Strach je przejmował teraz przed tym człowiekiem, którego prokurator w oskarżeniu swojem obłożył mianem upiora w ludzkiej postaci, kata wybierającego swe ofiary w pośród przyszłego, do życia powołanego dopiero pokolenia.

Dziesięć lat ciężkiego więzienia! brzmi wyrok trybunału! i wieczna pogarda! to był sąd znowu ogółu.

On, dawniej poważany, szanowany i czczony, dziś wykreślony z rzędu uczciwych ludzi.

Gdy Henryk we wspomnieniach swoich, które obrazami przesuwały się przed wzrokiem jego ducha, doszedł do tej strasznej, niezapomnianej, bo zgrozą straszną w pamięć wbitej chwili, z trudnością tylko zdołał powstrzymać łzy, które mu się do oczu cisnęły.

Nie nad ojcem swoim płakał, bolał nad dolą swej ukochanej matki, która go ciężkim smutkiem napełniała. On tylko, on z całego świata jeden tylko wiedział, co ta biedna męczennica się nacierpiała, jak ją los srodze podeptał, a jednak potężnego, szlachetnego charakteru pozbawić jej nie potrafił.



Onegdaj odbył się w Paryżu ślub córki premjera Lavala, p. Jose Laval z hr. de Chambrun. Ślubu udzielił młodej parze generał Dominikanów, specjalnie przybyły na tę uroczystość z Rzymu

Niezapomnianą pozostała mu chwila, gdy matka wzięła go, a miał wtedy lat dziesięć, za rękę i z domu wyprowadziła.

„Dokąd idziemy, mamciu?“ — pytał ją wtedy.

„Do taty!“ — odrzekła, — „pożegnać się z nim na wieki“.

I zaprowadziła go do wielkiego, szarego, ponurego domu. Zaprowadzono ich do jakiegoś pokoju, który był kratą przedzielony na dwie połowy. Kazano im tam czekać, im obojgu, w żałobę przybranej bladej kobiecie i chłopcu małemu, który nic z tego nie rozumiał, miał jednak przeczucie, że jakieś, straszne, niewysłowione nieszczęście ich dotknęło.

Nareszcie, za kratą ukazała się postać ludzka, z twarzą całkiem ogoloną, w szarem, drelichowem ubraniu, włosy na głowie krótko przystrzyżone, postać wychudła, wstrętem napełniająca. A jednak chłopczyna choć tak zmienionego poznał natychmiast, wyciągnął rączęta, wołając:

„Tatku, tatku, nareszcie, gdzieżeś był tak długo, chodź z nami, opuść czem prędzej ten straszny budynek.

Ale więzień nie poruszył się nawet, na głos własnego dziecka, utkwiwszy nieprzyjazny wzrok w swą żonę.

„Przyszłaś urągać się nademną? Czego chcesz?“

„Przyprowadziłam ci dziecko twoje, byś się raz jeszcze na nie popatrzył,“ — odpowiedziała pani Haler, „pożegnaj się z niem, bo go więcej nie zobaczysz“.

A więzień wzruszył ramionami i rzekł z chrapliwym śmiechem:

„Cóż znowu za komedje! Co za czułości! Co się stało, odstać się nie może, myśl teraz, jak się bezemnie obędziecie. Oddaj małego do rzemieślnika, to najlepszy sposób. Pozbędziesz się prędzej ciężaru, a on sam dojdzie prędzej do chleba. Do szkoły niech dalej nie chodzi, ot, widzisz, do czego mię wiedza zawiodła!“

„Chodź, dziecko“, — rzekła nieszczęśliwa kobieta przy tych brutalnych sło-

wach, — „nie masz już ojca, — teraz w tej chwili umarł ci ojciec! Pracować będę od wczesnego ranka do późnej nocy, byleś pokończył szkoły i stał się uczciwym i zacnym człowiekiem i pozostał nim przez całe życie“.

Objęła ręką dziecko i pociągnęła je z sobą. Nie doszła jednak dalej, jak do progu, zemdlała i upadła.

Rzucił się na nią z krzykiem mały Henryk, zbiegli się urzędnicy i służba, — ocucili nieszczęśliwą kobietę, zawieziono ją fiakrem do domu.

I przyszły ciężkie czasy dla chłopca, — ciężka choroba powaliła matkę na łoże i nie brakowało wiele, a biedny Henryk byłby się stał sierotą, ale snać Bóg tego nie chciał.

Po trzech miesiącach przyszła kobieta do siebie, wyzdrowiała.

Upadły mąż przetrwonił cały majątek, złożył go u stóp wietrznicy, nietylko swój ale i posag żony. Resztę, co tylko było, zabrali wierzyciele. Gwóźdź w mieszkaniu nie pozostał. Wyprowadziła się więc na przedmieście ,gdzie małą izdebkę wynajęła. I teraz zaczął się czas ciężkiej doli, zarabiania na chleb dla siebie i syna.

Dawała lekcje gry na fortepianie, haftowała i hafty sprzedawała, litościwi ludzie wspierali ją, nie wprost, bo duma jej na to nie byłaby pozwoliła, ale polecając ją znajomym, dostarczając pracy.

A chociaż były dnie, w których nawet kęsa chleba brakowało w domu, choć pani Halerowa nieraz bezsenne noce spędzała, łamiąc sobie głowę, czem zapłacić w bieżącym miesiącu mieszkanie, Henryk uczęszczał pilnie dalej do gimnazjum. Przechodził z klasy do klasy jako celujący uczeń, zdobył sobie miłość swoich nauczycieli i stawał się z dniem każdym silniejszym i mężniejszym.

Gdy się dostał do wyższych klas, nastały czasy już lepsze. I on zaczął już zarabiać na chleb lekcjami prywatnemi po zamożnych domach. Pani Haler nie potrzebowała przynajmniej przy świetle lampy ślęczeć i psuć sobie oczy.

O ojcu nie słyszał Henryk nigdy ani słowa. Chociaż więźniowi wolno było pisać do żony i dziecka, z tego pozwolenia nie korzystał jednak. Tak upłynęło całych osiem lat.

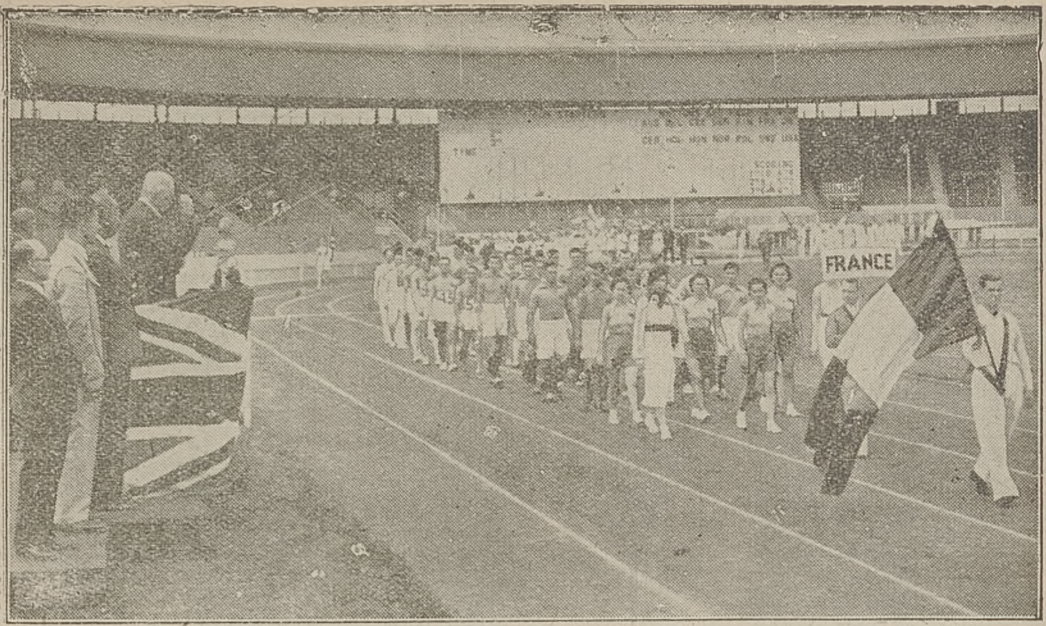
Między matką i synem także nie padło nigdy ni słowo wzmianki o ojcu. Umarł dla nich.

Ale miał przyjść dzień, kiedy się więzień w straszny sposób pamięci przypomniał.

A był to dzień właśnie, w którym uszczęśliwiony Henryk przybiegł do matki po zdaniu z wyszczególnieniem egzaminu dojrzałości wpadł jak strzała do pokoju, rzucił się w objęcia matki z krzykiem:

„Teraz, mamciu droga, do Berlina, tam dopiero będzie nauka!“

Pani Haler ani słowa nie mogła przemówić ze wzruszenia, słów by jej nawet brakło, by móc wypowiedzieć, co w tej chwili czuła. A więc nie nadarmo pracowała, nie nadarmo tyle biedy zaznała, wreszcie, chociaż nie koniec trosce jeszcze, toć przecie świta jutrzenka lepszej przyszłości, jeszcze lat parę a syn znajdzie się na stanowisku i otoczy ją wdzięczną opieką, drżącemi ramionami objęła syna, przycisnęła go do serca, długo, długo trzymała go w swoich objęciach, aż wezbrane uczucie znalazło wyraz w łzach upust.



Ostatnio odbyły się w Londynie zawody lekko-atletyczne dla głuchoniemych, które zgromadziły zawodników z 14 państw Europy. Na zdjęciu widzimy pochód uczestników, biorących czynny udział w zawodach

„Przecież, przecież doczekałam się tej szczęśliwej chwili, nie nadarmo więc ciężko pracowałam. Chciał, bym z ciebie robotnika zrobiła, dałam sobie słowo, że cię wykieruję na uczonego i musisz nim jeszcze być, kto wie, czy imię twoje nie okryjesz jeszcze sławą.“

W tem dały się słyszeć za drzwiami kroki, drzwi gwałtownie otwarły się, do pokoju wpadła policja a urzędnik na jej czele rzekł surowym głosem do pobladłych z przerażenia i strachu matki i syna:

„Gdzie on jest, gdzieście go ukryli?“

„Dla Boga, o kim pan mówi?“

„O mężu pani! Uciekł z więzienia, — zamordował przedtem dozorcę i wziął jego ubranie.“

Z okrzykiem przerażenia padła pani Haler zemdlona w ramiona swego syna, który sam zaledwie mógł się na nogach utrzymać.

To był dzień egzaminu Henryka.

Naturalnie zupełna niewinność pani Haler wyszła na jaw. Nie do niej uciekł, nie u niej ukrył się. Niepodobna było policji wyśledzić, co się z nim stało. Telegramy rozesłano na wszystkie strony, na rogach ulic obwieszczano listy gończe z podobizną jego, policja, żandarmerja zostały w gorączkowy ruch wprawione, wszystko jednak daremnie! Jak gdyby się w ziemię zapadł, ani śladu po nim.

„Tak, tak, ani śladu po nim, dzięki Ci Boże za to“, — szeptali do siebie zcicha żona ze synem.

Przynajmniej ubyła ta jedna troska, że człowiek ten tak nisko upadły, morderca, — nazwisko, które nosili, nową hańbą nie zbezcześci.

Henryk, zapisawszy się na uniwersytet w Berlinie, oddawał się pilnie studjom, a że miał znakomite polecenia od profesorów, nie trudno mu było o dobrze płatne lekcje.

Matka nie próżnowała również, pracowała w Berlinie i nadal tak, jak niegdyś w Hamburgu, tak więc oboje wiedli spokojny żywot, choć niedostatnio, lecz bez biedy, patrząc pogodnem okiem w przyszłość, którą miał Henryk ugruntować.

Pogodna ta przyszłość zdawała się być bardzo bliską, gdy Henryk osiągnął stopień doktora medycyny.

Lecz cóż, niema róży bez cierni. Wnet mieli się przekonać o prawdzie słów biblijnych, że za grzechy ojców często następne pokutują pokolenia.

Musieli się przekonać, że ludzie pamiętają, czyim synem był młody doktor, że zbrodnie ojca stanęły mu kamieniem na drodze życia.

Udało się mu wprawdzie zdobyć sobie praktykę lekarską w Berlinie, otwierały się na ścieżaj przed nim domy bardzo bogatych i znakomitych rodzin, szczęście zdawało mu się uśmiechać, był na najlepszej drodze zdobycia sobie wziętości, majątku i sławy, gdy nagle, prawie przez noc, jakby na zaklęcie, odwrócili się wszyscy pacjenci od niego, nie wzywano go już więcej tam, gdzie przedtem był tak dobrze widziany, ba, nawet przyjaciele zaczęli go unikać.

Z początku nie mógł sobie wytłumaczyć tej zmiany. Ale jednego dnia otworzyły mu się oczy i poznał całą grozę swego położenia. Między innemi był lekarzem pewnego szlacheckiego, sportowego klubu, gdzie się również wielką sympatją cieszył.

Razu jednego otrzymał od sekretarza tego klubu list, w którym mu tenże w sposób jak najdelikatniejszy daje do zrozumienia, by zrezygnował z posady lekarza klubowego.

Nie poczuwając się do żadnej winy, czując nadto żądło obrazy, jaka w tym liście mimo delikatności, z jaką był pisany, była zawarta, udał się natychmiast do pomieszkania sekretarza, celem zażądania wyjaśnienia.

Młody baron, sekretarz klubu, z wyrazem współczucia, a raczej litości w twarzy przemówił doń, podając mu rękę:

„Ja to czuję dobrze, że się panu, panie doktorze, krzywda dzieje. Ale to trudno, już taki świat, że w wyższych sferach nie znosi stykania się z ludźmi na których nazwisku cięży plama. Przyznaję, żeś pan temu nic nie winien, ale syna człowieka, który ma taką prze-



W Abisynji odbył się niedawno zjazd kół Czerwonego Krzyża, celem dokonania fuzji

złość za sobą, jak pański ojciec, proszę mię uwolnić od dalszego motywowania. Jeżeli zresztą w czemkolwiek mogę panu służyć“

„Dziękuję“, odrzekł szorstko Henryk. Wybiegł z kamienicy, moralny policzek mu zadany krew spędził do głowy, jak opętany wpadł do swego mieszkania.

„Mamo, pakujmy wszystkie rzeczy“, zawołał, „meble sprzedam później, wyjeżdżamy do Paryża.“

I tak się stało.

Doktor Haler chciał być jak najdalej od tych, którzy go dotychczas znali. Chciał, by o nim zapomniano, chciał i sam zapomnieć o tych wszystkich, z którymi go jakiekolwiek łączyły stosunki.

A matka stara, o, ona byłaby poszła z nim na koniec świata, byleby precz stąd, byleby nie widzieć więcej tego miasta, które jej po tem zajściu obrzydło. Z początku pomagała synowi jak mogła do stworzenia egzystencji w obcem, nieznanem mieście, w Paryżu, zwolna, pomału wzrastał dobrobyt i tak żyli znowu sobie spokojnie w małym domku przy wąskiej uliczce Paryża, trzymając się jednak o ile możności, zdala od ludzi i świata, którzy im tyle bolesnych doświadczeń przysporzyli.

Czy mógł o tem wszystkiem zamilczeć przed Anielcią, — miałże ją pozostawić w nieświadomości całej swojej przeszłości a raczej przeszłości swego ojca, — gdy jako przyszła żona ma dzielić wspólne z nim losy?

To pytanie, które sam sobie zadawał, było ostatniem z ogniw nawiązanem do łańcucha ponurych wspomnień.

„Nie, nie, — tego mi nie wolno“, zawołał młody lekarz. „Niech wie, jaką hańbą nazwisko nasze okryte. Ale ona potrafi nazwisko od człowieka, które nosić je zmuszony, odróżnić. Jeżeli mię kocha, nie dozwoli, by wspomnienia rzucały jakiekolwiek cienie na jej prawdziwą miłość!“

Nagle zatrzymał się. Pogrążony w myślach, nie patrzył, dokąd idzie, — bezwiednie kierowane kroki zaprowadziły go przed dom wielki, ponury, z zakratowanemi oknami. Ocknął się dopiero teraz z zadumy i z ciekawością spoglądał na dom, który ciekawość każdego przechodnia wzbudzać musiał.

„Zakład doktora Morizano“, odczytał napis wielkiemi głoskami umieszczony nad bramą domu.

„To więc jest ten zakład“, rzekł do siebie młody lekarz, „to jest miejsce, gdzie biedna Alma, moja obecna pacjentka, siedemnaście prawie lat przeżyła! Ha, dobrzeby było, zakład ten ze wszystkiemi jego urządzeniami oglądnąć bliżej, a przytem i doktora Morizano poznać. Ten potrafi mi więcej interesujących szczegółów dostarczyć, niż Walenty. Ale, że mię tu właśnie kroki moje zawiodły, to zdaje się być coś więcej, jak sam przypadek.“

Pociągnął za dzwonek, brama otwarła się prawie natychmiast.

Nazwiska swego nie wymieniając, kazał przez służącego oznajmić właścicielowi zakładu, że jeden lekarz francuski chciałby się z nim widzieć.

Zaprowadzono go do pokoju z wielkim komfortem urządzonego, prosząc, by chwilkę zechciał poczekać. Doktor Morizano przyjdzie za chwilę.

LXXIV.

Bezecny ojciec

Zaledwie doktor Haler był w stanie rozejrzeć się po pokoju, gdy się drzwi otwarły i wszedł mężczyzna z długą siwą brodą i złotemi okularami. Był to doktor Morizano.

Przenikliwym wzrokiem zmierzył młodego człowieka od stóp do głowy. Bo natury takie, jak doktora Morizano, podejrzliwe, domyślają się w każdym obcym wroga, lub conajmniej szpiega, starają się więc naturalnie go przejrzeć.

Wrażenie jednak, jakie na nim doktor Haler sprawił, musiało być dziwne, niepojęte. Stanął na chwilę, jakby skamieniały, jakby piorunem rażony, a następnie zrobił ruch, jakby się chciał szybko oddalić. Ale to trwało bardzo krótko. Wstrząsnął głową, jakby chciał odpędzić nieprzyjemne myśli i postąpił zwolna ku Henrykowi.

„Jestem doktor Morizano, słyszałem, że mam przyjemność powitać kolegę. Czemu mam to zawdzięczać?“

Ale i Henryk nie mógł wyjść z podziwienia. Rzecz dziwna, że tego człowieka, właściciela zakładu obłąkanych, widział po raz pierwszy, to pewna, — ale skąd znane mu te rysy, — chyba że to dawno, bardzo dawno być musiało, kiedy podobnego człowieka widział, ale wtedy musiał inaczej wyglądać. Podobieństwo z jakimś przybladłym obrazem w pamięci widział Henryk, — w czem jednak ono leżało, co za różnica była, napróżno natężał mózg.

Ale nietylko rysy doktora Morizano przypominały mu kogoś, ale też i głos, głos tak mu dobrze skądś znany.

Ten głos, — nie, mylić się nie mógł — z pewnością nie, — słyszał już nieraz z całą pewnością, — ale gdzie?

Niepokój rodzący się w nim powiadał mu, jakoby głos ten połączony był ze strasznym wypadkiem w jego życiu.

„Głupstwo!“ pomyślał doktor Haler, „jak można się tak dawać powodować nerwom. Ponure wspomnienia, którym się przed chwilą oddawałem, rzuciły cień na me zmysły“.

Myśli te przebiegły mu przez głowę w ciągu kilku sekund, — ale nagle otrząsnął się z nich, — i składając głęboki ukłon przed gospodarzem domu, rzekł:

„Proszę mi darować, panie doktorze, że ośmielam się go nachodzić. Sprowadza mię jednak bardzo ważna sprawa do pana, — sprawa nieszczęśliwej kobiety, która nas obu żywo obchodzi“.

Doktor Morizano zapraszającym ruchem ręki wskazał fotel, — sam usiadł również.

„Mam na myśli pacjentkę, panie doktorze“, rzekł Henryk, zajmując miejsce w fotelu, „właściwie mówiąc nieszczęśliwą, która pozostawała pod pańską opieką tu, w tym zakładzie. Biedna Alma, — nazwiska jej nie znam. Niezawodnie będzie pan, panie doktorze, wiedział, o kim mówię, gdy dodam, że chora znajduje się obecnie w zamku Sokolskich.

Morizano poruszył się niespokojnie na siedzeniu.

Wspomnienie tej chorej ugodziło go, jakby sztyletem. Był ten młody człowiek, przed nim siedzący, rzeczywiście lekarzem, czy też tajnym ajentem, podszywającym się pod fałszywy tytuł i nazwisko?

„Tak, rzeczywiście“, rzekł, „ta chora przebywała długie lata w moim zakładzie, — w końcu wydałem ją jako nieuleczalnie chorą. Hrabia Zygmunt Sokolski zajmował się żywo tą osobą, podobno ze względów delikatnej natury. Może ma nawet jakie zobowiązania wobec niej, — krótko mówiąc, kazał ją przewieźć do zamku. Niestety nie mogę panu, panie kolego, żadnych bliższych udzielić szczegółów, z którychby pan przy obecnej kuracji, mógł korzystać. Nie widziałem jej już dawno, — a jak panu, panie kolego, wiadomo, sąd o chorym można sobie wyrobić tylko wtedy, jeżeli się go ma ustawicznie na oku“.

„Całkiem słusznie, panie doktorze. Ale na jedno pytanie prosiłbym o odpowiedź. „Czy w jej chorobliwej fantazji, już wówczas, gdy była w zakładzie, wielką rolę odgrywało dziecko, które zresztą

o ile sobie przypominam, także tutaj na świat wydała?“

„Zdaje mi się, że tak“, dał wymijającą odpowiedź Morizano.

„Zresztą, jak wspomniałem, dokładniejszymi szczegółami służyć koledze nie mogę. Zakład mój mieści kilkaset chorych, — jedni przychodzą, drudzy odchodzą. Trudno więc pojedyńczy wypadek zatrzymać w pamięci! Więc pan teraz objąłeś kurację tej biednej, panie kolega? Życzę panu z całego serca pomyślnego wyniku“.

„Kuracji właściwej nie objąłem“, odparł doktór Haler, któremu całe zachowanie się doktora Morizano nie podobało się. „Wziąłem ją tylko pod obserwację. Na każdy sposób przejąłem na siebie w ten sposób zobowiązanie, które mi cięży tem bardziej, że hrabiego nawet na zamku niema“.

„A! — Więc pan sam tylko z chorą?“

„Oprócz mnie jest jeszcze sługa stary i klucznica, która opiekuje się chorą, — nadto, kilku ludzi ze służby, których zresztą nie znam. W każdym razie jestem obecnie jedyną odpowiedzialną osobą na zamku“.

„Hm, tak, tak!“ zamruczał doktór Morizano w swoją siwą brodę. „Wiesz pan co, panie kolego, co do mnie, jestem gotówym na pańskie usługi. Najlepiej będzie jak raz wspólnie zbadamy stan chorej“.

„Co do mnie, panie konsyljarzu, jestem jak najzupełniej przekonanym, że pańska rada i pomoc wiele dobrego mi przysporzą“, odpowiedział Haler ze skromnością. „Jestem młodym dopiero lekarzem, a pan ma już ogromną praktykę jakoteż połączone z nią rozległe doświadczenia. Jeżeli to możliwe, moglibyśmy zaraz jutro urządzić wspólną konsultację. Może tak pomiędzy dwunastą a pierwszą w południe?“

„Te godziny mam zajęte. Ale poco odkładać do jutra, kiedy dzisiaj można by to załatwić. Przyjdę wieczorem, jak tylko się ściemni. Czy słaba zamieszkuje jeszcze ciągle pawilon ogrodowy?“

Henryk potwierdził, nadmieniając, że doktor Morizano nie potrzebuje nawet przechodzić przez główną bramę: może sobie skrócić drogę bardzo łatwo, wchodząc przez furtkę ogrodową do środka parku.

„Dobrze, — wyśmienicie“, zawołał doktor Morizano. „Może mnie pan napewno oczekiwać! Ale prawda, zapomniałem dotychczas zapytać się o nazwisko kolegi. Z kimże mam przyjemność?“

„Doktor Henryk Haler!“

W tej chwili podskoczył Morizano na stołku, jakby go ukłuła jadowita żmija. Rysy jego twarzy wykrzywiły się dziko, — wargi poczęły mu się trząść, — napróżno starał się wszelkiemi siłami zapanować nad sobą.

„Doktor — Henryk — Haler, —“ zawołał z chrypką w głosie, „i pan pochodzisz z Francji?“

„O nie, nazwałem się francuskim lekarzem, bo obecnie przebywam w Paryżu. — Tam się osiedliłem. — Urodziłem się jednak w poznańskiem, — Poznań to miejsce mego urodzenia.“

„Poznań? — A więc — doktor Henryk Haler z Poznania!“



Kobicty coraz częściej rozsławiają teraz imię Polski. Ostatnio, słynna polska sport menka Walasiewiczówna, ustaliła nowy rekord światowy na igrzyskach akademickich w Budapeszcie, w biegu na 400 m, przebiegając trasę w czasie 57.6

Doktor Morizano zamilkł na chwilę. Pierś jego pracowała ciężko, niby miech kowalski. Całem szczęściem było dla niego, że siedział dość daleko z twarzą w półcieniu tak, że Henryk nie mógł spostrzec głębokiego wzruszenia, jakie się w jego rysach odmalowało.

„Ale dlaczego“, zawołał Morizano, z trudem pokonawszy nieco pierwsze przerażenie, uciekł pan doktor aż tak daleko, — opuścił swoją ojczyznę i poszedł w służbę obcych, — przecież to dla nas strata niepowetowana, my i tak nie rozporządzamy licznym materjałem, zwłaszcza, co się tyczy specjalistów dla chorób umysłowych. Co pana skłoniło do osiedlenia się w Paryżu?“

„Familijne okoliczności, pani konsyljarzu.“

„Familijne okoliczności, ach, rozumiem, to rzeczy, o których się niechętnie mówi. I pan tak samotny tam w ogromnym Paryżu? Nie widzę ani obrączki ślubnej na palcu u pana? Nie tęskno panu za krajem? Nie przykro być tak opuszczonym?“

„Tak bardzo opuszczonym nie jestem, jak się panu zdaje, mam matkę przy sobie!“

Prawa ręka doktora Morizano złapała kurczowo za wierzchnią płytę biurka, jakby chciała ją rozgnieść w proch.

„Matkę“, wyjęknął stary, jakby słowo to sztyletem mu się w piersi wbiło, „więc matka pańska żyje jeszcze?“

„Pan Bóg zachował mi ją przy życiu łaskawie, pomimo tego, że przeszła wiele zmartwień przez przeciąg wielu lat.“

„A ojciec pański?“

„Mój ojciec umarł!“

Doktor Morizano zakrył sobie na chwilę twarz rękami.

„A więc dzisiaj wieczorem zobaczymy się“, odezwał się całkiem zmienionym tonem. „Proszę być pewnym, że pana nie zawiodę, — że przyjdę stanowczo. A więc dowidzenia, do wieczora, kochany kolego!“

Podał Henrykowi rękę, — ten ściskając prawicę starca zauważył, że miał on palce zupełnie skostniałe, zimne jak lód. Mimowoli prędko oderwał rękę, miał uczucie, jakby zimnego gada wziął do dłoni.

Młody mężczyzna odetchnął dopiero wolniej opuszczając zakład obłąkanych starego doktora Morizano i idąc w kierunku domu.

Doktor Morizano postąpił ku oknu, z którego mógł obserwować odchodzącego Henryka. Śledził go bacznie wzrokiem dopóki mu nie znikł w lesie. Następnie potoczył się jak pijany od okna, trupia bladość pokryła mu policzki, zimny pot wystąpił mu we wielkich kroplach na czoło.

„To on był!“ wydobył ze siebie z trudnością, śmiejąc się przeraźliwie i ochryple. „Ale ja nie mam syna, słyszałem przecież dopiero co z jego własnych ust, że niema ojca, ojciec mu umarł, — umarł, — pogrzebany i zapomniany!“

Doktor Morizano założył ręce na plecy, spacerując po swoim pokoju cały wzburzony i rozirytowany — w tak rozdenerwowanym stanie, w jakim może jeszcze nigdy się nie znajdował.

„A więc w Paryżu mieszkają, — moja żona żyje jeszcze! — Ci oboje mogliby mi się stać niebezpiecznymi, gdyby zdarli moją maskę, gdyby przeczuli, że pod tą maską kryje się zamiast doktora Morizano, doktor Maurycy Haler, ten sam więzień, który zamordował swojego stróża i uciekł z kryminału.

„Ale oni nie przeczuwają tego, naturalnie nie wiedzą nic o tem, nie przypuszczają nawet, chociaż to dziwne, ta myśl nie daje mi spokoju, że on tu przybył tylko po to, aby mnie wybadać, wyśledzić! — A jakby on naprawdę odkrył przypadkiem moją tajemnicę, jakby się dowiedział, że ja jestem jego ojcem i przyszedł tu do mnie, aby domagać się pieniędzy! Ta pierwsza wizyta mogła mu służyć tylko do tego, aby zbadać całą sytuację, wyśledzić czy ta wiadomość, która doszła w jakiś sposób do jego uszu, opiera się na prawdzie. Będzie się dowiadywał dalszych rzeczy, opowiedzą mu zapewnie, że ja jestem bogatym! Choćbym zataił wszystko przed nim i zaklinał się, że to nieprawda, uwierzy przecież wkońcu innym, którzy wiedzą, że zebrałem sobie tutaj przez tych parę lat ładną sumkę i wówczas —!“

Dreszcze przebiegły po chudem ciele starca, nerwowo począł sobie targać siwą brodę.

(Ciąg dalszy w nast. numerze.)

H-U-M-O-R

Rozczarowanie

Znany „gwiazdor“ filmowy S. wszedł do sklepu, aby sobie kupić parę rękawiczek. Kupiec pokazuje mu rękawiczki z najdroższej skóry.

— Ile kosztują?

— 40 zł, ale dla szanownego pana zrobimy naturalnie inną cenę... 32 złote.

„Gwiazdor“ mile połechtany w swej próżności uśmiecha się i mówi:

— Dobrze. Biorę! Proszę mi odesłać do domu...

— Doskonale... Służę. A jak godność szanownego pana?...

Ciemna sprawa

Do jednego z komisarjatów posterunkowy przyprowadził jakiegoś szofera.

— Dlaczegoście aresztowali tego człowieka? — pyta komisarz.

— Jechał przepisowo prawą stroną — odpowiada policjant — nie trąbił bez potrzeby, zwalniał na przystankach i skrzyżowaniach ulic, tylny numer miał oświetlony — krótko mówiąc, jego zachowanie odrazu wydało mi się podejrzane i dlatego aresztowałem go!...

Komplement

— Musiałaś być kiedyś bardzo ładna ciociu.

— Dlaczego tak sądzisz?

— Bo gdybyś wyglądała tak, jak dzisiaj, wujek nie byłby się z tobą ożenił.

Obniżył cenę

Właściciel znanego magazynu urządził wyprzedaż. Ceny zniżone. Na wystawie wisi piękna jesionka męska. Na niej kartka: „Dawniej 275 zł — obecnie 100 zł.“

Mija tydzień, dwa. Klientów jakoś nie widać.

— Niema rady — wzdycha właściciel — trzeba znowu obniżyć ceny.

Nazajutrz na palcie ukazała się kartka: „Dawniej 350 zł — obecnie 100 zł.“

Wina ojca

— Jak mogliście zostać włóczęgą?

— Tak. Szanowna pani, ojciec zapomniał zostawić mi majątek, a ja byłem zawsze zbyt dumny, by pracować.

Źle zrozumiał

Gospodyni do młodego lekarza:

— Panie doktorze, pierwszy przed drzwiami.

— Niech wejdzie, niech wejdzie!

Dobre aspiracje

— Czy może mi pan przynieść świadectwo z ostatniej swej służby szoferskiej? — pyta nowy chlebodawca.

— Niestety, dopiero za kilka tygodni.

— A to dlaczego?

— Bo mój dotychczasowy pan leży w klinice!

W szkole

Nowy nauczyciel, mający przez czas dłuższy zastępować swego chorego kolegę, chcąc zjednać sobie „z miejsca“ dzieciaków, przemawia do nich ojcowskim tonem, by ze wszystkiem, o czem myślą, zwracali się szczerze, bez obawy, do niego.

Na to wstaje mały Tadzio i mówi:

— Proszę pana psora, mnie się okropnie nudzi...

W kawiarni

— Co to za pan, któremu się kłaniałeś?

— To redaktor pewnego porannego pisma.

— A ta pani, która jest z nim?

— To jego dodatek wieczorny.

Piła

W obecności znanego ze złośliwości krytyka rozmawiano o pewnej podstarzałej, lecz mającej jeszcze wielkie pretensje damie.

— Cóż to za piła! — zawołał ktoś.

— Przesada — wtrącił krytyk — piła ma przynajmniej zęby!

Potęga wiary

Dwaj malcy bawią się w parku.

— Ile masz lat? — pyta jeden drugiego.

— Cztery, ale mamusia mówi, że jak będę pił codziennie tran, to za rok będę miał pięć!

PRZEDPŁATA już z odnoszeniem przez pocztę miesięcznie 95 groszy, kwartalnie zł 2,85. Pod opaską miesięcznie zł 1,50, kwartalnie zł 4,50. Zagranicą zł 1,50 miesięcznie. Wrazie wypadków spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajku lub t. p., wydawnictwo nie odpowiada za dostarczanie pisma, a prenumeratorzy nie mają prawa do odszkodowania.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA Żnin (Wlkp.) ulica Śniadeckich 8

Telefon 32

Rękopisów nie zwraca się.
P. K. O. Nr. 207.393

CENY OGŁOSZEŃ: 1/1 strona 450,- zł, 1/2 str. 225,- zł itd. Wiersz milimetrowy szerok. 31 mm. 25 gr. Drobne ogłoszenia za każdy wyraz 10 gr, dla poszuk. pracy 50 proc. zniżki. Za zastrzeżenie miejsca dolicza się 50 proc. Ogłoszenia przyjmuje się 10 dni przed datą numeru.

Red. nacz. i wydawca: Alfred Ksycki — Red. odpow.: Marja Zemmlerówna — Zakłady Wydawnicze Alfred Ksycki, Żnin.